Rok 1900. Lwów, 4. listopada Nr 56.

TYGODNIK NARODOWY.

Redaktor: Klemens Kołakowski. * * * * * * * * Redakcya i Administracya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. II.

Treść Nr. 56:

ROK MYŚLIWCA.



WYJAZD NA POLOWANIE

Socyaliści wobec religii i narodowości.

(Dokończenie).

W artykule poprzednim powtórzyliśmy w dosłownem tłumaczeniu wywody p. E. Belfort-Bax'a o stosunku socyalizmu do religii. Dzisiaj tłumaczymy ustęp w którym tenże przewódca ruchu socyalistycznego określa stosunek swej partyi do idei narodowości. Pisze on tak:

„O stanowisku ruchu socyalistycznego do narodowości wyraża się prof Sombart w sposób podobny, jak w kwestyi religijnej. Zarówno, jak tam, starał się osłabić znaczenie nieteologicznego na świat poglądu dla sprawy socyalizmu, tak tutaj internacyonalizm usiłuje uczynić bezprzedmiotowym dla tejże sprawy. Niechęć dla religii pojmuje on negatywnie, jako pewną cechę opozycyi przeciw panującemu porządkowi ekonomicznemu i przeciw klasom, ten porządek reprezentującym.

„Internacyonalizm znowu uważa za ruch impulsywny, istniejący w łonie proletaryatu, spowodowany tem, że ów proletaryat uparruje bezpośredniego przeciwnika w panującej klasie własnego kraju. „Atoli — dodaje Sombart — uważam za rzecz mylną, jeżeli z impulsywnego antinacyonalizmu czyni się teoryę antinarodową. W istocie dzisiejszego ruchu socyalnego nie widzę ku temu żadnej zmuszającej przyczyny".

„Ja odpowiem, iż właśnie taka „zmuszająca przyczyna" leży w naturze rozwoju historycznego. Skoro dzisiejsze państwa narodowe powstały, jako polityczna forma gospodarki kapitalistycznej i służą równocześnie za osłonę panoszeniu się kapitalizmu, to muszą one utracić swe znaczenie, jako samoistne jednostki polityczne, jeżeli dzisiejszy świat kapitalistyczny ma się zmienić na inny. „Silna reprezentacya interesów narodowych", o której prof. Sombart sądzi, iż „nigdy nie będzie zbyteczną" — okazałaby się w tym wypadku bardzo rychło szkodliwą pozostałością dawnego porządku rzeczy. Jeżeli podnosi się protest przeciw „sztucznemu usuwaniu szranek narodowych", to przedewszystkiem trzeba wiedzieć, co rozumie się pod „sztucznem usuwaniem". Skoro szranki narodowościowe okazują się nieużytecznemi, albo nawet wprost tamującemi postęp, a tem samem szkodliwemi, to wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, następuje akt świadomego ich usunięcia. Odnosi się to przynajmniej do dzisiejszego ich pojmowania. Atoli nie wykluczam możliwości, istniejącej już teraz, iż odpadną one same przez się, skoro tylko międzynarodowa, a federalistyczne kierująca władza centralna unicestwi te prądy przewodnie. co im dzisiaj użyczają siły żywotnej. Odbędzie się to tak, jak było przy tworzeniu dzisiejszych systematów narodowościowych, że za przykład wezmę Rzeszę niemiecką: zadecydowała tu tendencya, polegająca na tem, iż jednostki federalistyczne na rzecz władzy centralnej ustępują swych praw autonomicznych, bądź to na polu legislatywy, bądź też w dziedzinie egzekutywy. Nawet w Szwajcaryi da się stwierdzić istnienie silnego prądu w tym właśnie kierunku. W oczach średniowiecznego „rajchsrittera" tak samo fantastyczną byłaby dzisiejsza Rzesza niemiecka, jak w oczach prof. Sombarta wzgardzona przezeń myśl powszechnej rzeczypospolitej. Oczywista, nie da się napewne przepowiedzieć, w jaki sposób powstanie ta międzynarodowa władza centralna; być może, że stanie się to — jak w r. 1896 zaznaczyłem na międzynarodowym kongresie w Berlinie — przez stopniowe wyposażanie w nowe funkcye ciała, które początkowo będzie miało tylko rozjemczy zakres działania.

„Zdumiewającą jest tylko okoliczność, że historyk, tak oczytany, jak prof. Sombart, wypowiada zapatrywanie, iż dzisiejsze różnice narodowościowe należą do tych, które „prawdopodobnie zawsze będą istniały". Prof. Sombart powinienby wiedzieć, że właśnie dzisiejsze narodowe organizmy są porostami historyi, które przeważnie dopiero od wieków średnich, to znaczy, w okresie trzech do czterech stuleci, przeobraziły się w stałe ustroje. Można zresztą sądzić, że pozostaną one wiecznie trwałemi, ale można sąd taki opierać tylko na danych motywach. A w dziele prof. Sombarta nie znajdujemy ani śladu takich motywów.

„Co do różnic społecznych, które — wedle zapatrywania prof. Sombarta, mają istnieć wiecznie, to, przyznaję, iż opierają się one na dłuższej przeszłości. Różnica klas w tej, lub innej formie, sięga wstecz bardzo daleko, bo aż do początków kulturnej epoki ludzkości. Ale właśnie socyalna demokracya wierzy, iż te różnice prędzej, lub później dadzą się usunąć za pomocą rozwoju ekonomicznego. Prof. Sombart, pomimo, iż w teoryi staje do pewnego stopnia na gruncie zasad Marxa, nie uzasadnia jednak powodu, dla którego neguje skutek, wynikający logicznie właśnie z podstawowych zasad Marxa...

„Zmierzam ku końcowi. Demokraci socyalni wyczekują chwili, kiedy dzisiejsze odgraniczenia narodowościowe z ich patryotyzmem, czepiającym się tego, lub owego, utracą wszelkie znaczenie, tak samo, jak utraciły je szranki gmin miejskich średniowiecza, lub starożytności. Być może, iż stare poczucie narodowe, jednak w stopniu bardzo słabym, przetrwa jeszcze niejedną generacyę i będzie nastręczało sposobność do bankietów i uroczystości podobnie, jak dzisiaj faktyczna jedność polityczna Anglii nie przeszkadza istnieniu stowarzyszeniom hrabstw, które odbywają w pewnych czasach zebrania, ażeby święcić lokalno-patryotyczne uroczystości, połączone z bankietami, whisky, mowami i tym podobnemi pięknemi rzeczami.

„Bez względu jednak na to, czyli są widoki, ażeby już w najbliższym czasie, czy też później, nacyonalizm zamienił się w internacyonalizm, — stronnictwo socyalno demokratyczne, jako — że tak powiem — czoło proletaryatu cywilizowanego świata, nie może nigdy spuścić z oczu nawet na tem polu politycznem, ostatecznego wyniku swych usiłowań i swego rozwoju, na których się opiera"..

Tak, oto, pisze jeden z proroków socyalizmu o intencyach swego stronnictwa wobec religii i narodowości. Słowa jego są aż nadto jasnemi i zbyteczna chyba, piętnować obłudę tych socyalistów w Polsce, którzy bałamucą ogół swą rzekomo religijnością i — patryotyzmem.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Lewica sejmowa.

Dwudziestu sześciu posłów demokratycznych, którzy nie solidaryzują się z programem pp Romanowicza i Rutowskiego, wystosowało odezwę do wyborców, w której przedewszystkiem zaznaczają, że „wobec wysilania się na nowe hasła i wobec rozstroju, zrywającego dotychczasowe łączniki", istnieje nadal niewzruszenie dawna „lewica sejmowa", a reprezentują ją podpisani posłowie. Lewica ta — czytamy dalej — stała zawsze na gruncie narodowym i na tem stanowisku wytrwa. Za główną arenę dla tej polityki uważa Radę państwa, a za warunek — solidarność posłów polskich w parlamencie wiedeńskim. Tak kroczą Czesi i Niemcy. Polakom, którzy przez waśń wewnętrzną utracili byt polityczny, n i e w o l n o dzisiaj dzielić się na grupy i rozbijać na stronnictwa. Zrywanie solidarności w chwili dzisiejszej, jest zbrodnią. Dlatego Lewica sejmowa pragnie umożliwić wszystkim stronnictwom polskim, dotychczas luzem idącym, wstąpienie do Koła polskiego, przez przeprowadzenie odpowiednich zmian w statucie Koła. „Zmiany te powinny zapewnić posłom większą, niż dotychczas, swobodę, nie naruszając jednak zasady solidarności".

Lewica sejmowa oświadcza się dalej za centralnym komitetem wyborczym, „jako formacyę i organizacyą sił narodowych". Centralny komitet powinien obejmować wszystkie narodowe, choć zasadniczo różniące się stronnictwa. Należy przytem dążyć do uzyskania sprawiedliwego składu i zdemokratyzowania tej instytucyi, tudzież „ku wyłączeniu z pod decydującego jej wpływu tych ciał wyborczych, w których poczucie solidarności narodowej żadnej nie ulega wątpliwości".

Jako stronnictwo wolnościowe, lewica sejmowa dąży przedewszystkiem do krzewienia oświaty, stoi na gruncie autonomicznym, a w kierunku społecznym, otacza najstaranniejszą opieką interesy ludu, zwłaszcza w dziedzinie ustawodawstwa socyalnego; całość kraju ma na oku, nie uznaje przywilejów klasowych; lud, rolnictwo, miasto i poprawa stosunków ekonomicznych, głównemi są przedmiotami jej działalności. Lewica sejmowa stoi wiernie pod sztandarem narodowym i bronić będzie narodowości nietylko w kraju, ale na Śląsku i Bukowinie; bronić też będzie tradycyj religijnych. Wobec narodowych Rusinów zajmuje stanowisko braterskie i oświadcza się za równouprawnieniem ludności żydowskiej, od której spodziewa się współpracownictwa na niwie narodowej. W kierunku politycznym uważa konieczność utrzymania parlamentaryzmu w Austryi.

Za najbliższe zadanie stawia sobie lewica sejmowa, wytworzyć stronnictwo, wolne od namiętności partyjnych, a powołane do łagodzenia partyjnych krańcowości, pracą pozytywną, wytrwałą i pożyteczną, w ciałach autonomicznych i ustawodawczych, służbą narodową, stałą i wytrwałą, oraz ideą postępową.

Taką jest treść odezwy, a podpisali ją: Godzimir Małachowski, Albin Rayski, Jakób Piepes-Poratyński, Wład. Górka, Ludwik Ćwikliński, Wład. Dulęba, M. Michalski, Emil Byk, Gustaw Roszkowski, Karol Dzieduszycki, Stanisław Jabłoński, Jan Kanty Jugendfein, T. Merunowicz, Emil Michałowski, Ignacy Rychlik, Stanisław Schätzel, Aug. Sokołowski, Maks. Trachtenberg, Le-

onard Wiśniewski, Józef Znamirowski, Ferdynand Maiss, Zygmunt Jaworski, Franc. Maryewski, Julian Olpiński, Leonard Piętak i Leon Jakliński.

Z Wielkopolski.

Klęskę ponieśli Polacy w Prusach zachodnich przy wyborach uzupełniających do Sejmu pruskiego. Donoszą z Brodnicy, że kandydat polski, ks. dr. Wolszlegier z Dąbrówna, otrzymał tylko 92 głosów, zaś kandydat niemiecki Sieg z Raczynka otrzymał 104 głosów i został wybrany posłem. Dla wytłumaczenia liczby głosów przypominamy, że do Sejmu pruskiego wybiera się zapomocą wyborów pośrednich

Na sześć miesięcy więzienia skazała poznańska druga Izba karna odpowiedzialnego redaktora „Pracy", p. Władysława Siemiątkowskiego za rzekome podburzanie do gwałtów i zohydzanie rządu i urządzeń państwowych w artykule p. t. „Polityka pięści". Zasądzonego natychmiast wtrącono do więzienia.

Biskupstwo niemieckie w Czerniowcach..

„Wien. Tagblatt", omawiając znany projekt centralistów, utworzenia w Czerniowcach nowej pepiniery niemczyzny, mianowicie osobnego biskupstwa rz. k. z nominatem Niemcem, zapewnia, że sprawa ta jest już w zasadzie zadecydowaną, chodzi obecnie tylko o kwestye natury osobistej. A cóż na to Galicya?

Następstwo tronu w Węgrzech.

W Sejmie węgierskim toczy się rozprawa nad następstwem tronu. Opozycya węgierska stanęła na stanowisku, iż prawowitą królową węgierską w razie wstąpienia na tron arcyks. Franciszka Ferdynanda, może być tylko morganatyczna jego małżonka hrabianka Chotek, albowiem prawa węgierskie morganatycznych małżeństw nie uznają. Imieniem opozycyi sprzeciwił się też stanowczo dep. Kossuth włączeniu do zbioru węgierskich ustaw deklaracyi arcyksięcia, zawierającej zrzeczenie się praw do tronu imieniem swojej żony i swoich dzieci. W pierwszym dniu dyskusyi rząd węgierski zachowywał się biernie, dopiero po porozumieniu się z monarchą, zabrał głos na środowem posiedzeniu Izby, prezes ministrów Koloman Szell i wypowiedział wielką mowę o tej sprawie skomplikowanej prawnie i drażliwej politycznie. Szell jest za przyjęciem deklaracyi i oświadczył, że nie wie, czy deklaracya arc. Franciszka Ferdynanda będzie w Austryi inartykułowana. Zrzeczenia się cesarza Ferdynanda i arc. Franciszka Karola również nie były inartykułowane, mimo iż wtedy Rada państwa była zgromadzona; przyjęto je tylko do wiadomości. Na zapytanie dep. Ratkaya. czy małżonka Franciszka Ferdynanda będzie królową Węgier, czy nie, odpowiedział Szell, że „jakkolwiek on nad tem ubolewa bardzo — a z pewnością nie mniej, niż szanowni panowie deputowani z opozycyi — to jednak małżonka arcyksięcia Franciszka Ferdynanda nie może być królową Węgier!"

Po mowie Szella, przerwano dyskusyę, uchwała jeszcze nie zapadła; projekt rządowy ma naturalnie zapewnioną większość i niewątpliwie zostanie uchwalony, o ile opozycya nie chwyci się obstrukcyjnych środków.

Z Hiszpanii.

W Hiszpanii wybuchły rozruchy.

Przez prowincyę hiszpańską Katalonję przeciągają liczne uzbrojone bandy, które rząd hiszpański uważa za bandy karlistów. Ale blask Don Carlosa zgasł już dawno, nikt nie oczekuje restytucyi kraju drogą awanturniczych przedsięwzięć, a gdyby nawet do czegoś podobnego przyszło, przewództwo objęliby republikanie i socyaliści. Walki karlistów z 1834. do 1839. roku i z 1872. do 1876. r. wybuchły wśród innych warunków, niż są dzisiaj. Wtedy Don Carlos miał w Hiszpanii silną partyę, tudzież stronnictwa klerykalne trzymały jego stronę. — Dziś jest inaczej. Mało kto w Hiszpanii zapala się dla sprawy Don Carlosa, entuzyazm zaś religijny ostudziły prądy republikańskie i socyalistyczne. Katalonia jest jedną z najpiękniejszych prowincyi hiszpańskich; ludność katalońska jest przedsiębiorcza, pracowita, tudzież odznacza się inteligencyą. Obecne rozruchy mają prawdopodobnie charakter republikański, a rząd stara się to tylko ukryć, nazywając je karlistycznemi. Obecne położenie Hiszpanii jest bardzo podobne do tego, w jakiem była w drugiej połowie XVII. wieku, gdy wojna z Ludwikiem XIV. sprowadziła na nią podobne klęski, jak niedawno wojna amerykańska; nie miała wtedy Hiszpania ani floty, ani dostatecznej siły zbrojnej lądowej, by módz obronić granice swoje. Powstanie w Katalonii osłabiło Hiszpanię niemniej od wojny z Francyą. Berberyjscy piraci plądrowali miasta portowe, handel podupadł, słowem położenie Hiszpanii było okropne. Karol II. często nie miał czem zapłacić służby swego dworu. Tak się skończyły rządy Habsburgów w Hiszpanii. Burboni, którzy po nich przyszli, bodaj okazali na polu finansowem i ekonomicznem wiele dobrej woli; ludność, której liczba spadła do 5-ciu milionów dusz, podniosła się obecnie do 10 milionów. Potem wojny Napoleońskie sprowadziły znów nowe walki i niepokoje, a wreszcie nastały despotyczne rządy Ferdynanda VII., nie mającego zdolności, ani kwalifikacyi na panującego. Gdy nieszczęśliwy kraj od nich się uwolnił, nastał okres wojskowych rewolucyj. Alfons XII monarcha wielkich zalet, rządził zaledwie lat parę, syn zaś jego liczy dopiero 14 rok życia. Niepokoje w północnej Hiszpanii przybierają coraz większe rozmiary, zwłaszcza, że na obecny czas przypada krizis w przemyśle bawełnianym, dzięki czemu zastępy rewolucyonistów są ciągle zasilane przez robotników, nie mających obecnie zajęcia. Nadto w całej Katalonji panuje ogromne niezadowolenie z dzisiejszego rządu. Jak donoszą depesze, jedna z band powstańczych, która się zjawiła pod miastem Berga, leżącem nad francuską granicą, liczy 900 ludzi. Wszelka komunikacya jest przerwana. Karliści w Madrycie twierdzą, że Don Carlos stoi zupełnie zdala od rozruchów katalońskich i nie ma z niemi nic wspólnego.

W Chinach.

Poseł francuski, Pichon, donosi, że chorował przez kilka dni na febrę błotną, ale choroba nie przeszkadzała mu dowiadywać się o stanie układów z Chinami. Dodaje, że zdaniem lekarzy, stan jego zdrowia nie jest już groźny, i niema żadnego niebezpieczeństwa. Wobec tej wiadomości, upada wyrażone przez pisma niemieckie i francuskie podejrzenie, że Li-Hung-Czang, celem wywołania zwłoki w układach lub przeprowadzenia jakiejkolwiek intrygi, zawiadomił rząd francuski o chorobie Pichon'a i prosił o zamianowanie innego pełnomocnika. Oświadczenie Pichon'a, że stan jego zdrowia „nie jest już groźny", dowodzi, że był niebezpieczny i przezorny Li-Hung-Czang miał powód do zaniepokojenia. Ile ta dziecinna podejrzliwość przeciw Chińczykom, a mianowicie przeciw dworowi cesarskiemu i Li-Hung-Czangowi narobiła szkody, jak utrudniła zakończenie zatargu, tego z odległości nawet w przybliżeniu osądzić niepodobna. Można tylko stwierdzić fakt, że pomimo usilnych starań władz chińskich, układy pokojowe nie rozpoczęły się jeszcze.

Tymczasem w dzielnicach południowych położenie pogarsza się stale. Wojska cesarskie nie zdołają rozproszyć powstańców i przywrócić spokoju. Ruch rewolucyjny przybiera coraz więcej charakter wrogi dla dynastyi, a ponieważ sprzysiężeni obchodzą się bardzo dobrze z ludnością, nie podpalają miejscowości, które nie stawiają im czynnego oporu, nie mordują, ani nie łupią i płacą nawet za żywność dostarczoną, liczba ich zwolenników powiększa się stale i powstanie ogarnia coraz większe przestrzenie.

Dość uzasadnione jest przypuszczenie, że rząd cesarski, który rozporządza w dzielnicach południowych stosunkowo bardzo wielkiemi siłami zbrojnemi, z wyrachowania nie występuje bardzo energicznie przeciw powstańcom. Można zrozumieć, że zwłoka w rozpoczęciu układów pokojowych, wywołuje niepokój na dworze cesarskim i budzi tam podejrzenia, że mocarstwa nie pragną pokoju. Że takie podejrzenia tam istnieją, to zdaje się wynikać z nieustannych zbrojeń chińskich. Wojska cesarskie przyjmują coraz więcej ochotników, ćwiczą się przy pomocy oficerów wydoskonalonych w służbie europejskiej, a rząd ściąga z całego kraju wielkie kapitały. Wygląda to tak, jakgdyby obawiał się nowej wojny i przygotowywał się do niej. W przewidywaniu tej wojny może też rząd nie chce wystąpić energicznie przeciw powstańcom południowym, nie wiedząc, czy nie będzie potrzebował kiedyś ich pomocy. Nie ulega zaś najmniejszej wątpliwości, że w razie wielkiej wojny ze światem zachodnim, wcale nie trudno byłoby pozyskać teraźniejszych rewolucyonistów dla polityki rządowej. Przykład bokserów jest pod tym względem bardzo pouczający.

K. R.

Pogląd na historyę rolnictwa w Polsce.

(Fr. Rawita-Gawroński. Studya i szkice historyczne. Lwów. Nakładem Tow. Wydawniczego. 1900).

Do seryi szkiców historycznych, które niedawno temu opublikował p. Rawita-Gawroński, należy rozprawa p. t. Pogląd na historyę rolnictwa w Polsce. Jestto rzecz, napisana z okazyi pewnej publikacyi, dotyczącej dziejów rolnictwa w Polsce, a z tego powodu nosi szatę referatu krytycznego, korzystając temsamem ze wszystkich przymiotów, ale i ze wszystkich przywar prac tego rodzaju.

Nie zamierzam tu pisać krytyki tej pracy p. Rawity-Gawrońskiego, tembardziej że chybabym musiał pisać „krytykę krytyki", stanąć na stanowisku omawianej przez niego książki, bronić jej przed jego zarzutami. Nie czynię tego — ponieważ p. Rawita-Gawroński w swym szkicu, mającym pozory okolicznościowej krytyki, nietylko krytykuje, lecz buduje, — nie-

tylko wytyka wady, lecz sam tworzy. Praca jego nietyle jest krytyczną, ile twórczą. I to też mam na samym wstępie za złe autorowi „Szkiców“, że ujął swe poglądy na historyę rolnictwa w Polsce w formę krytyki przygodnej, — podczas gdy na każdej stronicy tej krytyki daje dowód, że stać go było na rzecz, choćby nawet krótką, ale zasadnicze wskazującą tory badaniom nad historyą rolnictwa. Gdy pominiemy całą część polemiczno-okolicznościową, wywołaną pojawieniem się dzieła, o którem pisze p. Rawita-Gawroński, pozostanie nam jeszcze pewien szkielet badań samodzielnych autora, pozostanie — istotny pogląd na historyę rolnictwa w Polsce. I dlatego też szkic ten, co do wartości, najwyżej stawiamy z całego zbioru, a to tembardziej, im mniej prac w zakresie historyi ekonomicznego rozwoju naszego kraju liczy nasza literatura.

Słusznie zaznacza na wstępie autor „poglądu“, że od chwili, kiedy Edmund Stawiski wydał swoje Poszukiwania do historyi rolnictwa krajowego (1858) czterdzieści lat już upłynęło, a od tego czasu nikt nie zabrał się do napisania dziejów rolnictwa. Praca na tem polu posuwała się dotychczas w kierunku poszukiwania i publikowania materyałów źródłowych. W ciągu ostatnich lat kilkunastu wydobyto na jaw i wydano szereg cennych źródeł i przyczynków do ekonomicznej historyi Polski. Źródła te, publikowane w Warszawie, Krakowie, Lwowie, Kijowie, Moskwie, Petersburgu i Wilnie, nie zostały dotychczas zużytkowane. Dla przyszłego historyka-ekonomisty stanowić one będą niezmiernie cenny materyał dziejowy, oświetlają bowiem dokładnie ekonomiczno-społeczny ustrój zwłaszcza Litwy i Rusi, to jest w pierwszej linii tych ziem, co do których dostępne do niedawna źródła nader skąpych udzielały informacyi.

Chcąc pisać historyę rolnictwa, należy koniecznie trzymać się ściśle określonej przestrzeni tj. prowincyi. Ten bowiem kardynalny szkopuł stawał na drodze każdemu, kto do niedawna jeszcze badał ekonomiczną przeszłość naszego narodu, że wyników poszukiwań, dotyczących np. Wielkopolski nie można było zastosować do Małopolski, a tem mniej do Rusi, gdyż rozwój ekonomiczny tych prowincyi różnił się zasadniczo w czasie. Dzieje każdej zatem prowincyi wymagały specyalnych badań i poszukiwań. Wogólności jednak można powiedzieć, że przebieg, a więc następowanie po sobie pojedynczych faz rozwoju, było we wszystkich prowincyach jednakowe, — różnica polegała tylko w czasie.

Gdy mowa o fazach, lub okresach rozwoju ekonomicznego, uprzytomnić sobie przedewszystkiem trzeba, że okresy te nie zawsze się schodzą z okresami państwowego życia politycznego, ponieważ historya ekonomicznego rozwoju, będąc wyrazem ogólnych ekonomicznych przekształcań, w których polityczne warunki grają rolę tylko współdziałającego czynnika, ma swoje własne punkty zwrotne. Takie punkty zwrotne w rozwoju rolnictwa przygotowują się znacznie wolniej w organizmie ekonomicznym, niż przełomowe chwile w rozwoju politycznym. Wykazuje to też charakter proponowanego przez p. Rawitę-Gawrońskiego podziału na okresy, — podziału, który uważam za w zupełności uzasadniony. Podział ten przedstawia się tak:

I. Okres przejściowy i władania rodowego (do Kazimierza Wielkiego);
II. Okres panowania systemu czynszowego i kolonizacyjnego i przekształcających się form własności;
III. Okres pańszczyźniany od statutu Toruńskiego i wzmożenia się uprawy wielkiej. Gospodarstwo folwarczne;
IV. Okres od saumowolnienia włościan.

Do historyi pewnego okresu (władania rodowego i wspólnego) brak nam źródeł wydajnych. Ale, jak słusznie zauważa p. p. Rawita-Gawroński, materyałem historycznym, źródłem pierwszorzędnego znaczenia jest nietylko dokument drukowany, lub pisany — książka, lecz geografia historyczna kraju i ziemia sama przez się. Badania archeologiczne rzucają ogromne światło na to, jakiemi drogami przyszła do Polski nauka techniki rolniczej. „Wykopaliska, monety, znalezione na ziemiach naszych, dowodzą niezbicie, że granice koloni rzymskich wciskały się głęboko w środek późniejszej Rzeczypospolitej. Tą drogą zdobywaliśmy pierwsze okruchy wiedzy rolniczej. Od Rzymian nauczyliśmy się wypiekać chleb. Od tych sąsiadów-kolonistów nauczyliśmy się przechowywać zboże w dołach; od nich nauczyliśmy się regularnych jarmarków, urządzanych peryodycznie dla zbytu produktów rolniczych“. Dwupolowy system gospodarstwa pochodzi nawet od poprzedników Rzymian — od greckich kolonistów, zamieszkujących wybrzeże Czarnego morza.

Podczas, gdy wpływy te szerzyły się na wschodzie, w Wielkopolsce dały się uczuwać wpływy sąsiedztwa Niemców. Różnice tych wpływów, wyciśnięte dobitnie na organizacyi społeczno-ekonomicznej odnośnych prowincyi, powiększały się też dzięki temu, że na zachód leżące ziemie bardziej były zaludnione a przez to szybciej zbliżały się do chwili, gdy prawne uregulowanie stosunku człowieka do ziemi stawało się koniecznością. Na Rusi, a poniekąd i w Małopolsce jeszcze każdy używał ziemi, jak powietrza, lub wody, gdy w Wielkopolsce już zaczynały się ujawiać rozmaite różnice społeczne, mające źródło w różnicy stosunku do ziemi, w różnicy form władania ziemią.

W najstarszych godnych uwagi dokumentach (z wieku XI. i XII.) dostrzegamy ślady rozmaitego układania się stosunku prawnego rolnika do ziemi. Zarówno korona, jak szlachta i kmiecie mają najrozmaitsze tytuły własności ziemi, które się odznaczają brakiem jednolitej podstawy prawnej, a z tego powodu uważane być muszą za formy przejściowe, wytworzone przez ścieranie się najrozmaitszych pojęć prawnych i wpływy rozmaitych systemów urządzenia własności. Nie spotykamy nigdzie zasadniczego prawa, w myśl którego np. korona byłaby właścicielką ziemi, a ludność zamieszkująca posiadałaby rodzaj wieczystej dzierżawy; ani wybitnego typu prywatnej własności szlachty lub kmieci, ani ustalonego pojęcia o przynależności ziemi do jednej klasy przed końcem XIV. wieku nie spotykamy. Niemało to utrudnia zrozumienie, pojęć prawnych w czasach późniejszych gdy z zamętu rozmaitych równolegle istniejących form posiadania ziemi wyłaniać się poczęły z kilku stron równocześnie pretensye do wyłącznego posiadania ziemi.

Z tygodnia.

„Teatr miłośników sceny“ we Lwowie odbył 20. bm. Walne Zgromadzenie. Zgromadzenie zagaił dotychczasowy prezes pan Bielski Roman i przedstawił działalność Towarzystwa w ubiegłym roku administr. 1899/900. Towarzystwo spieszyło zawsze z pomocą instytucyom, a dając przedstawienia, miało przedewszystkiem na celu wzbudzanie w publiczności zamiłowania do sztuki dramatycznej. Po udzieleniu absolutoryum ustępującemu, wybrano nowy Wydział na rok adm. 1900/901, w skład którego weszli: p. Józef Białynia Chołodecki, jako prezes, (wybrany przez aklamacyą), p. Dobrzański Julian, jako sekretarz. Kierownikiem artystycznym został wybranym ponownie, wielce zasłużony około rozwoju Towarzystwa, p. Pilarski Tadeusz. Skarbnikiem pozostał nadal p. Drągowski Zygmunt. Bibliotekarzem wybrano p. Czajkowskiego Edmunda.

W skład komisyi szkontrującej weszli: pna Rybakówna Olga, pna Adamowska Jadwiga i p. Andruszewski Maryan.

Wobec teraźniejszego prądu do oświaty, a rzeczywistej potrzeby tanich przedstawień popularnych dla publiczności, spragnionej pożytecznej rozrywki, postanowiło Towarzystwo urządzać częste przedstawienia popularne po cenach nader dostępnych, wystawiać sztuki przeważnie narodowe, dalej komedye społeczne, o treści przystępnej dla ogółu i święcić wszystkie rocznice narodowe stosownemi przedstawieniemi. Cały czysty dochód, otrzymany ze wszystkich przedstawień w ciągu roku, rozdzieli Towarzystwo z końcem roku administr. między poszczególne Towarzystwa dobroczynne w równych częściach.

*

Dwa nowe pomniki przybędą Lwowu, a to: Agenora Gołuchowskiego i Kornela Ujejskiego, Rada miejska odstąpiła miejsce na pomnik pierwszy przy wylocie ulicy Trzeciego Maja, na drugi zaś, na skwerze ul. Akademickiej.

Pomnik Gołuchowskiego, roboty Cypryana Godebskiego, ma być dziełem wspaniałem; natomiast dla uczczenia pamięci Ujejskiego, ma stanąć bronzowy biust poety, na granitowej podstawie. Twórca „Chorału“ zasłużył chyba na więcej!...

*

W Nauheim zmarł we środę Stanisław Szczepanowski, a prawie równocześnie zakończył życie w Schodnicy Kazimierz Odrzywolski. Los tragiczny, jaki połączył w życiu obu tych, bądź co bądź, niepospolitych ludzi, tworząc z nich, jakoby jednę duszę w dwóch ciałach, zrządził, że nawet ziemię pożegnali razem... Dwie rodzone siostry, zamężne za nimi (z domu Wolskie) owdowiały równocześnie. Wspomnienia wielkich czynów, większych zamiarów, pamięć genjuszu i idealizmu niebywałego, reminiscencya ubiegłych wypadków i — kto wie, o ile zasłużonego — upokorzenia odżyły znowu na chwilę. Jest, doprawdy, coś szekspirowskiego w potędze tej tragedyi, jaką przeszli na ziemi obaj ci przyjaciele, jeden, o lotach ducha genjalnych, ale Ikarowych, drugi pełen umiłowania pracy twardej i pełen nieznanego dzisiaj poświęcenia dla przyjaciela. *Non omnes moriantur* — powiedzieć można w tej chwili nad mogiłami, zbyt świeżemi, iżby szczegółowo wolno było oceniać życie i działalność obu nieboszczyków.

Rok myśliwca.



L.U. C

SKOŃCZONE ŁOWY.

Władysław Kozicki

W pomroce prometejskich cieni.

(Z powodu „LUDZI BEZDOMNYCH" Żeromskiego.)

(Dokończenie).

Zaczął się dla doktora teraz nowy okres, coś, jakby wiosna po twardej zimie, co w nim „wzbudzało z każdym wschodem słońca ostrą moc duszy" i okazywało rzeczy i sprawy zewnętrznego świata z podwójną jasnością. Ustęp, poświęcony miłości Joanny Podborskiej i Judyma należy do najpiękniejszych w powieści. Pod wpływem tego uczucia zapomniał dr. Tomasz prawie zupełnie o swym planie podniesienia zdrowotności w Cisach — ale na widok Krzywosąda, który, chcąc na wiosnę oczyścić stawy, wpadł na genialną myśl ułatwienia sobie zadania przez wprowadzenie całego namułu i wszystkich nieczystości zapomocą kanału do rzeki, zapatrującej ludność wsi we wodę — obsypał go w napadzie szewskiej pasyi impertynencyami, a w końcu nie panując nad sobą — cisnął nim w lepkie błoto. Po tej awanturze naturalnie musiał Cisy opuścić — poczem przyjął miejsce lekarza w kopalni węgla w Zagłębiu, za pośrednictwem swego dawnego znajomego ze Szwajcaryi, inżyniera Korzeckiego, który go ściągnął w tamte strony, bo mu Judym swoją sympatyczną, zdrową naturą poprostu dobrze zrobił na nerwy. Tam — na widok bezdennej nędzy i rozpaczliwego położenia robotników w kopalni — ugruntowała się w nim i wzrosła do rozmiarów jakiejś ślepej namiętności — żądza ratowania tych nędzarzy i poświęcenia się dla nich. A ponieważ sądzi, że gdyby się ożenił — stałby się zwyczajnym filistrem, który własnemu egoizmowi podporządkuje wszelką ideę — zrywa z Joasią — ale przez to druzgoce sam siebie — i robi wrażenie, że złamany i nieszczęśliwy, nic już, albo niewiele zdziałać potrafi.

Oto krótka historya jego cierpienia, która jest zarazem w najogólniejszych zarysach treścią powieści. W czem źródło „bezdomności" Judyma? Odpowiedź na to pytanie daje Korzecki, kiedy mówi, że doktor ma duszę z „suteren". — To co, jest jego siłą, staje się równocześnie przyczyną tragedyi. Ten nieosłabiony zwątpieniem, (właściwem ludziom o wyrafinowanej kulturze) zapał dla sprawy, której się raz poświęcił, to przecenianie własnych sił, ta wiara, że on, sam jeden potrafi z małego przynajmniej kawałka ziemi zmieść trapiące go zmory — to wszystko w połączeniu z wybuchową wprawdzie, ale słabą z natury i pozbawioną statecznej trwałości energią woli — rzuca go na pastwę nieszczęścia.

Jeżeli nadmiarem wiary w zwycięstwo grzeszy Judym — to jej brak zupełny jest tragedyą Korzeckiego. Postać ta nakreślona z przedziwnem mistrzowstwem, dowodzącem rozległości talentu Żeromskiego, który umie odczuć najsubtelniejsze drgnienia duszy. Ustępy, poświęcone temu „bezdomnemu" prawie, że najgłębiej wrażają się w pamięć. Sam autor, z chwilą zjawienia się Korzeckiego — nastraja na wyższe tony swą lutnię — o czem świadczą choćby same symboliczne tytuły rozdziałów: „Asperges me — Dajmonion — Pielgrzym — Rozdarta sosna". — Inżynier Korzecki — to człowiek o wysokiej kulturze umysłu i uczucia, o duszy rozstrojonej, a czułej i zdolnej do głębokiej miłości, ale zgorzkniałej pod wpływem zawodów i cierpień. Obdarzony niezwykłą przenikliwością — zgłębiał ludzi do dna, a zbolały i pełen zwątpienia — przyjmował ich wyrazem niezmiennej ironii. — Smutek i rozstrój Korzeckiego płyną jednak ze źródła zupełnie innego, niż to się zwykle po powieściach zdarza: z bezskuteczności walki o prawo do życia i szczęścia tych, którzy nie żyją, ale wegetują, a szczęście znają chyba tylko z opowiadania. Pracował — ale — jak mówi — sił mu już nie stało. Uznał swoję bezsilność wobec przemocy zła — i zwątpił. To go przyprawiło o melancholię, o głuchą, a nieuniknioną rozpacz, której następstwem była ciężka choroba nerwowa. Stara się podnieść na duchu, chce zapomnieć o tem, co stało się powodem jego niemocy — ale napróżno. „Ja nie mogę żyć, jak miliony ludzi — mówi do Judyma. — Przecie nieraz uciekam na dwa miesiące w Alpy, Pireneje, na jednę wysepkę u brzegów bretońskich. Rzucam gazety, książki, nie odpieczętowuję listów... I cóż mi z tego? Zawsze i wszędzie widzę odbity świat w sobie, w mojej duszy nieszczęsnej. Gdy się nie spodzieję, wybucha tam wściekły gniew przeciw jakiejś podłości, dawno widzianej, zbudzi mię ze snu, przypomni wszystko, ukaże wszystko... Gniew bezsilny, a im bardziej bezsilny, tem większy". Napróżno usiłuje ten głos protestu, który mu duszę trawi, przytłumić zajęciem się sztuką, poezyą i filozofią — postępowaniem w ślad za twórczą myślą nowoczesną — to tylko pogłębia jego boleść. „Ja mam inną jeszcze chorobę. Ja mam zanadto wyedukowaną świadomość. To jest ścierwo obolałe. Nieszczęściem, katuszą jest posiadanie prawdy. Zanadto dużo przestrzeni leży między nią, a padołem, czyli Zagłębiem". Ta świadomość, ta prawda, którą posiadł, każe mu nie ufać rozumowi i powszechnie przyjętym kryteryom dobra i zła; idzie więc za głosem tajemniczego, wewnętrznego przeczucia, owego sokratesowego „Dajmonion" — które sprawia, że gotówby pójść i całować stopy zbrodniarza, którego sprawiedliwość ludzka ukarała. „Gdyby tysiące świadków wiarogodnych przysięgły, że to jest ojcobójca, matkobójca, zdjąłbym go z krzyża — na podstawie tego szeptu boskiego, co jest we mnie".

Pod ciężarem tylu cierpień, tylu sprzeczności ze światem i ludźmi — upada ten człowiek, który był — jak pielgrzym, co się w drodze trudzi przy blaskach gromu" — i kończy śmiercią samobójczą...

Do jakiej marności spadają wobec takiego Korzeckiego — ci inni nerwowcy, którzy przez całe tomy szlochają i roztkliwiają się nad miłością do jakiejś ciemnookiej, lub jasnookiej dziewczyny!

Jedna jest jeszcze w „Ludziach bezdomnych" dusza nieszczęsna, a wzniosła, która zaszczyt przynosi talentowi Żeromskiego: to Joasia Podborska. Ta nauczycielka, jakimś nieubłaganym fatalizmem losu ścigana — należy również do szeregu „bezdomnych", a to z dwóch powodów: najpierw, bo niema stałej przystani w życiu, lecz wędruje z miejsca na miejsce, gorżkiemi łzami zlewając ciężki chleb powszedni, a powtóre, bo i ona nie pracuje dla siebie, ale się poświęca dla innych, dla braci, z których jeden, bohater, ginie na Sybirze, a drugi, student zurychski, niecnie ją okłamuje i wyzyskuje.

Osobny Joasi poświęcony rozdział „Zwierzenia", otwiera na ścieżaj złote podwoje tej duszy — nie wiem, czy w istocie kobiecej — ale w każdym razie pięknej i niepowszedniej duszy ludzkiej. Widzimy ją, jak jasna, niezamącona i pogodna, podejmuje przygniatające jarzmo pracy, jak w niej potem mroźna ręka życia, zimnem szronu ścina jeden po drugim kwiaty ideału i wiary w szczęście. Wszystkie odcienia krótkotrwałej radości, rozterek duchowych, wywołanych walką z powstającą pod wpływem miłości żądzą rozkoszy, przygnębienia, trawiącej melancholii i niemocy, a wkońcu skamieniałej w niemem osłupieniu rozpaczy — wszystkie — słowem — wibracye duszy, znajdują tu swój mistrzowski wyraz. A już szczytem piękności w tym wspaniałym rozdziele, jest chwila, kiedy Joasia zwiedza utracone na zawsze miejsca rodzinne. Tak świetnego odzwierciedlenia tych uczuć — od czasu czwartej części „Dziadów", nie mieliśmy w naszej literaturze!

Nie będę przewlekał i tak zbyt długiej rzeczy, oceną sposobu, którego użył Żeromski do uwidocznienia nędzy drugiej kategoryi „bezdomnych", tych, co dachu nad głową nie mają; powiem tylko krótko, że robi to zawsze przez duszę jednego z bohaterów, w tym wypadku Judyma, któremu każe oglądać Ciepłą ulicę, czy to jakąś kopalnię, czy fabrykę. Najwyżej z tych opisów stoi ustęp, poświęcony kopalni węgla i opis huty żelaznej, dzięki świetnym postaciom dwóch atletycznych kowali i efektownemu zakończeniu, kiedy Judym w człowieku, schylonym nad jakimś przyrządem, wśród ognia, iskier i płomieni — poznaje swego brata.

Pominę również rojną galeryę drugorzędnych osób powieści, którym autor umiał — często zaledwie kilku pociągnięciami pióra, nadać odrębny wyraz i prawdziwe życie — i nie będę sobie sprawiał przykrości wyszukiwaniem błędów w wadliwej kompozycyi i w niedość umotywowanej miejscami fabule.

O jednem tylko jeszcze wspomnę. O stylu Żeromskiego, tym stylu, tak wydrwionym przez p. Pieńkowskiego, który złapawszy jedno wyrażenie „Judym nie mógł poruszyć ani rączką, ani nóżką", całkiem zresztą stosownem w humorystycznym opisie pełnej przygód jazdy do Cisów — wsiadł na tego konika i rozgalopował się w najlepsze, popędzając przed sobą niesmaczną ironię i kłujące dowcipy. Otóż styl ten w powszedniem, realistycznem

opowiadaniu naturalny i prosty — od czasu do czasu, przeplatany w wesołych miejscach, właściwą Żeromskiemu, studencko-żargonową gwarą (np. przecz-że szanowny eskulap ma minę tak zmachlajdezowaną) — w chwilach dramatycznego, lub lirycznego napięcia, wznosi się do wyżyn prawdziwej, wielkiej poezyi. Przecudne te ustępy, tchną ogromną potęgą duszy. Drga w nich jakiś nieuchwytny związek z tajemniczemi, odwiecznemi siłami przyrody; coś, jakby czerpanie życiodajnych, twórczych soków macierzystego łona ziemi. A może to na mnie tylko robi takie wrażenie. Może to wypływ przypadku, że czytałem „Ludzi bezdomnych“ wśród rozkwitającej wiosny, kiedy zewsząd wstawała święta, wskrzeszająca moc, kiedy po wertepach topniejące śniegi biegły radosną śmiercią powitać narodziny bogini, a z ostrym zapachem młodej trawy łączyła się woń białych kwiatów czereśni.

Ale myślę, że nietylko na mnie bije z tych kart wiosenne tchnienie zmartwychwstania.

Takich szerokich, ożywczych powiewów nieśmiertelnie silnej mocy ducha nie znajdziemy nawet w utworach tych, których królami powieści głoszą i przyjmują przy tryumfalnych dźwiękach muzyk i blaskach pochodni.

Żeromski — to człowiek, którego pierś naprawdę na miarę Fidyasza skrojona, — to człowiek, który naprawdę wzrósł w pomroce prometejskich cieni!

Magnetycznym urokiem sztuki przykuwa do siebie posłuszną duszę ludzką i sprowadza po tem ziemskiem piekle nędzy, chorób, krzywd i wyzysku — aż przerażona zakryje oczy i szeptać zacznie zbielałemi z trwogi wargami:

„Jedno jest tylko w przestworach widomem,
jedno w zachodniej płomienieje zorzy
nad płomiennemi falami
wiekuistego żywota
i nigdy w ciemnię grobu się nie złoży
i nigdy ciężkich stóp swych nie poruszy,
by iść, iść, iść
poza granice duszy
jedno jest tylko jednem,
grzmiącem miedzianą surmą archanioła
ponad pokoleń pokoleniem biednem —
wielki, wszechmocny ból!

(*Kasprowicz — Dies Irae.*)

Dr. Kazimierz Rakowski.

Przez ciernie i głogi.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Staś się znalazł na ulicy. Lecz któryś z kolegów miał dobrą myśl, aby na pomieszkanie oddano Stasiowi lokal klubu gimnazyalnego. Miał się Staś za to zajmować stale utrzymaniem porządku w bibliotece i w gazetach, a na życie wystarczył mu dochód z korepetycyj już przyrzeczonych. Rudzki nie miał nic przeciw temu, a tak więc Staś Beńkowski został „dyrektorem biblioteki“ — a wobec władz lokatorem piekarza Rudzkiego.

Wrażliwy z natury, tragiczną śmiercią ojca poruszony do głębi i pobudzony do myślenia nad rzeczami, które zazwyczaj nie zajmują młodzieńczych umysłów, — pozostawiony wreszcie nieomal zupełnie samemu sobie, Staś Beńkowski rozwinął się duchowo zupełnie nagle, pracował nad sobą wiele. Po za szkołą i korepetycyą oddawał się czytaniu książek z biblioteczki, którą miał pod bokiem. Po nocach sypiać nie mógł; umysł, rozdrażniony przejściami, które bez żadnego przygotowania wyrwały go ze zwykłego trybu życia, nie mógł dojść do równowagi. Projekty przyszłości własnej, sprawy kolegów i kółka, reforma biblioteki i czytelni (młodzi zawsze marzą o reformach), rozmyślania na temat przeczytanych książek — wszystko to utrzymywało w stanie ciągłego wrzenia jego umysł; często w nocy wstawał, zapalał lampę i odnajdywał jakąś książkę, o której właśnie w danej chwili

ROK MYŚLIWCA



Ambaras des richesses.

myślał. Wśród różnorodnych szlaków, którymi nerwowo przebiegała myśl jego, był jeden, na który zrzadka się zabłąkiwała, jakby wbrew woli, jakby pod przymusem, bo szlak ten nad przepaściami prowadził.

Były to rozmyślania nad śmiercią ojca, który wolał sobie odebrać życie, niż widzieć, jak szmat jego ojczystej ziemi przechodzi w ręce obce.

Rozmyślania o tem były bolesne, raniły młodą duszę szorstkością faktów, których nic z pamięci wymazać nie zdołało, prowadziły do egzaltowanych, a krańcowych poglądów. Były chwile, gdy Stasia napadał żal do życia za doznane przejścia, których znaczenia rozum jego ogarnąć nie zdołał; a były też i chwile, gdy budziła się w nim jakaś dzika energia i zaciskał pięści, myśląc o odwecie, i marzył o tem, jakto on powróci do tej ojcowizny, którą los wydarł jego rodzinie. Przychodziły na niego też chwile słabości, wśród których bezmierna tęsknota ogarniała go za zapachem pól i lasów, z którymi się pożegnał — może na zawsze. I ściskała młode serce gorycz wydziedziczenia. Syn obywatelski, nie pojmował wcale jak można służyć krajowi i społeczeństwu inaczej, niż na roli, i myśli jego obracały się zazwyczaj w zaczarowanem kole marzeń powrotu do roli, jak myśli tkacza, któremu kazano tłuc kamienie przy drodze, powracają do warsztatu tkackiego.

Idea utrzymania się przy ziemi, w imię której jego ojciec położył życie, stała się dla niego najświętszym dogmatem, była punktem wyjścia jego poglądów na życie i społeczeństwo wogóle.

Na wiadomość o sprzedaży Załęża na kolonizacyę, krew się w nim zaczęła burzyć i tego samego dnia, gdy „Monitor Poznański“ ogłosił stanowczą wiadomość, Beńkowski zwołał kolegów z pominięciem Danielewskiego. Na posiedzeniu tem zapytał zgromadzonych kolegów, jakie zamierza zająć stanowisko młodzież Siekierzyna wobec sprzedawczyka i jego syna. Takie postawienie kwestyi ogromnie schlebiało dumie szanownego zgromadzenia. Jeden z gimnazyastów mruknął, że trudno jest im zająć stanowisko wobec człowieka, który przenosi się na stałe do Berlina i już może w Siekierzynie się nie pokaże. „Ponieważ zaś — tak mówił mówca — nie mamy własnego organu prasy, więc chyba zapisać trzeba do protokółu, że Danielewskiemu wyraża się najgłębszą pogardę“.

Wniosek nie znalazł poparcia. Ktoś napomknął o gremialnem wysełaniu obrażających anonimów do sprzedawczyka i energicznie domagał się zmobilizowania w tym celu całej armii kuzynek i ciotek, oraz wyasygnowania z kasy wspólnej pewnej kwoty na znaczki pocztowe. „Taki jednomyślny wyraz uczuć pogardy — mówił projektodawca — napewno powstrzyma sprzedawczyka od podobnych czynów w przyszłości“.

Projekt o wysyłaniu anonimów jednak też nie przeszedł.

Wątpliwość rozproszył Staś Beńkowski.

„Gdym Włodka Danielewskiego zapytał — mówił Bieńkowski — jak się zapatruje na fakt sprzedaży wsi rodzinnej, odrzekł mi, że cieszy się bardzo, ponieważ przeprowadzi się do Berlina. Z tego powodu odmówiłem mu podania ręki. Panowie koledzy! To jest właśnie powód, dla którego was tu zaprosiłem. Człowiekowi, który tak postąpił, jak stary Danielewski, musimy w ten, lub inny sposób wyrazić pogardę, — człowiekowi zaś, który tak, jak młody Danielewski, niema poczucia wstydu, nie mamy prawa my, koledzy jego, podawać mu ręki“.

„Panowie — ciągnął dalej Beńkowski, a głos mu jeszcze bardziej drżał w piersi, słowa chwilami więzły w gardle i bladość występowała mu na policzki — myśmy nie tak dawno mieli przykład, że ludziom serca pękają z bólu, gdy mają żegnać się z ziemią ojczystą, a Danielewski, mogąc ją zatrzymać, dla spekulacyi ją sprzedał i tem samem shańbił pamięć tych wszystkich, którzy życie swoje za ziemię położyć byli gotowi. Obowiązkiem naszym jest zerwanie stosunków z tym, kto przez brak poczucia wstydu okazał się niegodnym naszego koleżeństwa. Gdyby mój ojciec, dziś oto wstał z grobu, pewnie by mi odmówił uścisku, gdyby sądził, że ja jestem zdolny podawać rękę takiemu...“

Tu wzruszenie nie pozwoliło mówić Beńkowskiemu dalej. Słowa uwięzły mu w gardle, w oczach błyszczały łzy. Zaległo głuche, wymowne milczenie.

Milczenie to przerwał wreszcie jeden ze zgromadzonych i w pełnem młodzieńczej energii przemówieniu oznajmił, że wszyscy solidaryzują się z zapatrywaniami Stasia Beńkowskiego.

Myśl pierwszego czynnego wystąpienia w takiej sprawie, jak sprzedaż na kolonizacyę, hypnotyzowała wszystkich: to też w jednej chwili zdecydowali się koledzy, aby nie podawać ręki młodemu Danielewskiemu, skoro okazał się tak obojętnym wobec hańbiącego postępku ojca.

Gdy już uchwała zapadła, stary Rudzki, który miał wraz z synem przywilej asystowania na rozprawach, skorzystał z niego właśnie w tej chwili, nie mając kupujących w sklepie. Sądził, że nadeszła chwila interwencyi i zwrócił uwagę, że młody Danielewski, jako dotychczasowy członek „Łączności“ mógłby przez zemstę sprowadzić wręcz nieobliczalne kłopoty dla wszystkich.

Tu się nerwowym ruchem rzucił Staś Beńkowski i, nie czekając aż skończy Rudzki, rzekł: Jeślibyśmy się zdrady przez zemstę spodziewać mieli z jego strony, ze strony kolegi, który pochodzi z jednej z lepszych rodzin Księstwa, to chybaby zwątpić było można o całem naszem społeczeństwie. Nasz wyrok na niego i niepodawanie ręki ma być tym ostrodziałającem lekarstwem, które go do upamiętania przyprowadzi. A choćby w istocie miał być zdrajcą, to tem lepiej, im wcześniej go od siebie odtrącimy, choćby kosztem największych ofiar.

Nikt się na to nie odezwał. Stary Rudzki też milczał, choć widać było w jego twarzy, że za przekonanego się nie uważał. Powziętego zamiaru nie zmieniono.

Porządek dzienny, jak się zdawało, był wyczerpany. Widząc, że o starym Danielewskim młodzi nie pamiętają, Stefek Rudzki, który dotychczas trzymał się na uboczu, skromnie stojąc przy drzwiach, choć wszyscy siedzieli, wziął na stronę Stasia Beńkowskiego i szepnął mu słów kilka.

Stefek miał swego rodzaju własną policyę, złożoną z dzieci biedniejszych klas ludności, ze smarkaczów, mało co wyższych od poręczy szkolnej ławy; zaopatrując ich w elementarze, książeczki ludowe wszelkiego rodzaju, a często nawet w kajeciki z napisami polskiemi, Stefek od nich miał w danej chwili najlepsze i najpewniejsze wiadomości. Wiedział przez nich, od jakich kupców kupuje którakolwiek rodzina polska, jakie sprowadza książki, jakie czytuje gazety, dokąd wyjeżdża na lato, czy często bywa w Berlinie i czy tam dużo pieniędzy wydaje, z jakimi Niemcami wreszcie utrzymuje stosunki. Stefek założył sobie nawet osobny notes, w którym zapisywał skrupulatnie wszelkie spostrzeżenia, dotyczące narodowego usposobienia każdego z mieszkańców Siekierzyna. Od jednego ze swych informatorów, który był synem furmana w Załężu, dowiedział się Stefek, że nazajutrz przyjedzie w nocy z Berlina Danielewski. Konie miały czekać na stacyi na pociąg o wpół do dwunastej.

Tą informacyą podzielił się obecnie Stefek z Beńkowskim, a potem pytająco spojrzał na niego.

Beńkowski zapytał: No i cóż z tego? przyjedzie w nocy, następnej nocy może odjedzie — przecież my nic — — —

Tu Beńkowski spojrzał na Stefka i uciął nagle.

Stefek miał na ustach dziwny uśmiech zadowolenia i mrugał jednem okiem znacząco. Kontent był, że projekt, z którym miał zamiar wystąpić, wyłącznie jego będzie własnością.

„No, a kocia muzyka?“ — zapytał z tryumfującą miną.

Te słowa były dla Beńkowskiego niejako całym programem. W jednej chwili ułożono plan działania. Właściwą demonstracyę podjął się aranżować Stefek, od gimnazyastów żądał tylko, aby postarali się o przywabienie w oznaczonym czasie na dworzec i przed dworzec kolejowy jak największej liczby ludzi. Mieli przyjść z rodzinami, z krewnymi, ze służbą, a Stefek gwarantował, że jego „podwładni“ — garść niedorostków, pozbieranych z całego Siekierzyna — potrafią zainicyować sprzedawczykowi taką kocią muzykę, o jakiej dawno nie słyszano. Gimnazyaści z rodzinami mieli według jego planu być tylko na to, aby podnieść znaczenie wstydu, wyrządzonego Danielewskiemu, jak niemniej i po to, aby zasłonić odwrót demonstrantów. W razie, gdyby policya chciała wkroczyć, co się nie zdawało prawdopodobnem, każdy ze smarkaczów, stanowiących przyboczną orkiestrę Stefka, z największą łatwością mógłby się prześlizgnąć pod ramieniem każdego z widzów tej niesłychanej w Siekierzynie afery — i prześlizgnąć się przez tłum, jak nurek przez wodne odmęty, aby w innem miejscu wypłynąć.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rok myśliwca.



GŁUSZCE.

Anna Neumanowa.

GODZINY ŻYCIA.

I.

MIŁOŚĆ.

„Dimmi perchè si soffre e si perdona,
„Perchè nel cor, con luminoso incanto,
„L'amore come alato inno risuona?

Ada Negri.

Czy ty pamiętasz? Zapomnieć trudno;
Pamiętasz chwilę krótką i złudną,
Ale tak piękną, jak sen anioła.
Przypomnę — słuchaj: Byliśmy sami,
Noc senną ciszę kładła dokoła,
Światy ciemnemi tuląc rąbkami:
Tylko w szafirów szklanej kolebce
Wieczorna gwiazda pieśń życia szepce
I złotą przędzą oplótłszy skronie,
Promykiem drżące wiąże nam dłonie.

Chciałam zaśpiewać — dźwięki się rwały
W szept jakiś cichy — w twych ustach mdlały
Wyznania słowa. — Piersi rozrywa
Moc jakaś wielka bólu — rozkoszy,
Uczuć mgławica na oczy spływa
I bojaźń grzechu z dusz młodych płoszy.
Czułam, że jedno serce w nas biło
I w jeden płomień usta się zrosły,
Nie wiem — czy do nas niebo zstąpiło,
Czy też nas duchy w niebo uniosły.

Cisza — weselne mdleją gdzieś głosy
W łkaniach i echach. — W srebrnych łzach rosy
Szczęścia sen spada na listek drżący
Stulistnej róży, w mych włosach śpiący.
I słowem: „k o c h a m“ twe usta pali,
I drży płomieniem w spojrzeń mych fali,
A odgłos jakiś szepce w zachwycie:
Kochasz? Tak, k o c h a m, k o c h a m nad życie!
Ach! Jedna jeszcze chwila tak błoga:
Ja oddam życie... duszę... świat... Boga!

* * *

Jako dwa kwiaty, co z wiosny chwilą
Ku sobie barwne kielichy schylą,
Jeśli je miłość w splot jeden złączy,
Gdy je rozerwiesz — życie twe sączy
Liść każdy kwiatu — tak dwie istoty,
Które miłości czar związe złoty,
Chociaż je losów fala roztrąci
I burzą dusze do dna zamąci,
Gdy gmach ich szczęścia runie w okruchy,
Krwią zlane serca — wspomnień łańcuchy
Wloką przez życie...

TADEUSZ STERNAL.

(Z papierów pośmiertnych).

Bez woli — bez winy.

SZKIC POWIEŚCIOWY z r. 1772.

(Ciąg dalszy.)

Ajent stał cicho, twarz jego nie zmieniła się, do słuchania podobnych rzeczy przyzwyczajonym był już oddawna. A zresztą czyż nie prawdą to było? mówił sobie w duchu.

„No, cóż? gadaj! czego chcesz?“ — zapytał znowu po chwili ambasador, „chcesz rubli może?“

„Jaśnie Wielm. Panie!“ zaczął cienkim głosem Szubalski. „Przyprowadziłem ciekawą personę, która ofiaruje swoje służby Jaśnie Wielm. Panu“.

„Na cóż mi sług? Nie potrzebuję was już więcej. Patrz tam, sami biskupi, wojewodowie i marszałkowie wasi, to wszystko moje fagasy“. Przy tych słowach wskazał na długą listę rady patryotycznej, leżącą na biurku. „Każę im szczekać, to szczekają, kwiczeć, to kwiczą lepiej, niż same polskie świnie. Któż to taki?“

„Starościc Adam Karski. Przybył z dalekich stron, nic nie wiedząc, co się u nas dzieje, a że znaliśmy się jeszcze ze szkół, więc przedstawiłem mu, jak rzeczy stoją. Gdy usłyszał o chęciach najjaśniejszej carowej rosyjskiej, przyszedł ofiarować swoje usługi“.

N., który tymczasem był odwrócił się od okna na pokój, z ironicznym uśmiechem pokiwał głową.

„Mów bez ogródki“, rzekł, „że nie mając co lepszego do czynienia, a raczej nic nie mając, tak, żeby zdechł z głodu na bruku warszawskim, przyszedł zdradzać za pieniądze. Ot, to wy tacy wszyscy, panowie Polaki“.

Ajent znosił wszystko z równą cierpliwością, nawet teraz, przy takich gorżkich dla niego samego słowach, ani jeden muszkuł nie drgnął na jego twarzy.

Nie o siebie mu jednak teraz chodziło i pewnie nie byłby się bronił, lecz o przyjaciela, któremu takiemi słowy mógłby N. w jednej chwili otworzyć oczy na to, co się właściwie dzieje. Musiał go więc o tem uwiadomić.

„Nie, Jaśnie Wielm. Panie. On nie jest takim, nawet kontusza nie chciał zrzucić, bo patryota dobry. Ale ręce załamywał, gdym mu mówił, co chcą zrobić Austrya i Prusy i jak z radością usłyszał o Jaśnie Wielm. Panu, że można mu służyć. Pomów z nim, Wielm. Panie, sam tylko chwilkę, to poznasz, czy prawdę mówię“.

Słowa te odniosły pożądany skutek. Ambasador, słuchając, usiadł na fotelu i po chwilce milczenia rzekł:

„A no, dobrze, przyprowadź go tu“.

Gdy Szubalski odwrócił się do drzwi, poseł rzekł sam do siebie:

„Takich mi potrzeba właśnie“.

Po chwili śmiało i zzawadyacka trochę wszedł Adam. Minę miał zupełnie taką, jak w gospodzie pod Warszawą. Poznać jednak było można, że niezupełnie czuł się swojsko w tej komnacie. Odstąpiwszy kilka kroków od drzwi, ukłonił się grzecznie ambasadorowi, który siedział teraz na małej sofce koło okna, udając zajętego myślami; gdy ujrzał starościca, podniósł głowę i skinął nią, odpowiadając na przywitanie.

„Jaśnie Wielm. Panie, starościc Adam Karski“, wymówił Juliusz.

N. bąknął słów kilka po francusku i wskazał nowemu znajomemu krzesło, opodal stojące. Rozpoczęła się dość żywa rozmowa o wszystkiem, tylko nie o polityce. N. umiał ją tak prowadzić, że za każdym razem, gdy przedmiot ten zdawał się już być nader bliskim, zwracał uwagę zupełnie na co innego. W ten sposób obgadano już nawet wszystkie osobistości w mieście.

„Nieszczęśliwy wasz kraj“ — mówił ambasador. „Doprawdy w obcych państwach sam byłem świadkiem, jak dziwiono się, że mając takich urzędników, takich biskupów, nawet takiego króla, Polska jeszcze stoi. Za dawnych czasów musiało pewnie być inaczej, wasi przodkowie byli z żelaza ukuci, jeżeli nadali taką ojczyźnie trwałość. Na stan kraju“ — zaczął wreszcie sam mówić o polityce,—nikt uwagi nie zwraca, a jeśli zwraca, to pewnie nie pozna się na nim, macie konfederatów — to rzecz niesłychana, a o waszych obywatelach, to zgroza mówić. Zdrajcy i rozpustnicy“.

„Jaśnie Wielm. Panie“, rzekł lokaj wchodząc do pokoju, „przyszedł pan Adam Poniński, wielki kuchmistrz koronny.

N., nim dał odpowiedź, wskazał obu gościom szafę, mówiąc zcicha: „idźcie panowie, przekonacie się na własne uszy, o tem, co mówię“.

Gdy Adam i Szubalski zniknęli w szafie, w której znajdowały się znane Szu-

balskiemu tajne drzwiczki, ambasador rzekł głośno: „wprowadzić“.

Do pokoju wszedł teraz wielki kuchmistrz koronny. Była to także jedna z tych figurek Rady patryotycznej, przyszedł, jak zwykle na pogadankę wieczorną, równy do równego. Zbliżył się do gospodarza i podając mu rękę rzekł:

„No, cóż tam słychać, kochany ambasadorze?“

Ale N. rękę w tył cofnął i zmierzył Ponińskiego zimnym, aż do zbytku wzrokiem, poczem wskazując nogą drzwi:

„W sej czas, koło drzwi, tam, gdzie miejsce dla ciebie. Myślisz, że nie wiem o twoich schadzkach — rano Prusak, w południe Austryak, a wieczór chcesz być Moskalem. Smakują rubelki, ale wiedz, że ich już więcej nie zobaczysz. Art!

Wszedł lokaj.

„Pokaż temu panu główne schody i frontową bramę!“

Poniński zmalał i skurczył się, jak pies nogą kopnięty W mgnieniu oka na pierwszy rozkaz znalazł się najpierw przy drzwiach, a potem wsuwając rubla lokajowi w rękę, aby z nim zbyt surowo nie postąpił, wysunął się cichaczem do przedpokoju.

„Proszę panów“, rzekł teraz N. zupełnie spokojnie.

Z szafy wyszedł najpierw starościc, potem Szubalski nieznacznie się uśmiechający.

„To są wasi obywatele i wasi urzędnicy; ja nie odważyłbym się tak mówić, gdyby prawda nie po mojej, nie po naszej była stronie. Przyjąłem wielkiego kuchmistrza koronnego“, wymówił to dobitnie i rozwlekle, jak się przyjmuje służalców, bez czci i poczucia honoru. Ani nie mruknął. Gdzie indziej to poza zniewążonym urzędnikiem stanąłby król, senat, wojsko, naród cały, a u was? Dziś zrobiłem to urzędnikowi, jutro waszym duchownym, czy choć odezwie się kto? Ale też nie wiem, czy nawet potęga Najjaśniejszej Pani potrafi was obronić“, napomknął w końcu delikatnie.

Nastąpiła chwila milczenia. Starościc bawił się karabelą, wyciągając ją po trochu z pochwy i nazad wsuwając, Szubalski oglądał końce pantofli, ambasador zaś bezmyślnie napozór patrzał na ulicę, w rzeczywistości zaś czekał odezwania się którego z gości; zrobił to w końcu Szubalski.

„Bądź co bądź, Jaśnie Wielm. Panie, nie wszyscy jesteśmy konfederatami, Prusakami i Austryakami. Chętnie będziemy gotowi na twoje rozkazy; wspominałem ci już, panie, o starościcu; wie o wszystkiem, opowiadałem mu już z własnej woli, przyszedł oddać się pod rozkazy ambasadora Najjaśniejszej carowej rosyjskiej, opiekunki Rzeczypospolitej“.

N. zwrócił się do starościca:

„Pan, panie Karski?“, zapytał niby zdziwiony. „Pan, syn starosty, miałbyś być — niech panu jego przyjaciel powie, jak nazywają go szlachta — ajentem moskiewskim. Czy pan wiesz, co to znaczy, to jest aż do chwili, mającej się odwlec, nie wiedzieć, jak długo, trzeba żyć pogardzanym od nierozumnych, wyśmiewanym, żyć dla „rubli moskiewskich“, jak powiadają. Dla pana byłaby dobrą konfederacya, zostałbyś odrazu porucznikiem, bo tam sama zbieranina. Radzę panu, jako starszy wiekiem“.

Jaki cel tych słów ambasadora był właściwie, nie potrzeba mówić — dość, że osiągnęły go one. Starościc powziął jeszcze większą chęć służenia Ojczyźnie, naturalnie pośrednio przez ambasadora rosyjskiego. Rzekł więc:

„Jaśnie Wielm. Panie; my Polacy nie długo potrzebujemy namysłu, aby powziąć stanowczy zamiar. Ojczyzna, to jest publicum bonum, przed prywatą — mówili ojcowie i dobrze było. Niech mię nazywają jak chcą, fagasem, ajentem — ja będę tem dla Ojczyzny, głową i ręką“, tu brzęknął karabelą.

N. widocznie był zadowolony, ale po schylonej nad papierami twarzy nie rozeznali tego ajenci. Po chwili z paczki świstków wyciągnął jakąś karteczkę i począł czytać głośno:

„Ot, co do konfederatów, mam raporty“. „Po klęsce pod Lanckoroną, reszta konfederatów i Potemkin uszli pod Częstochowę. Pułkownik huzarów Pawencki znikł gdzieś, niewiadomo gdzie; widział go zranionego w ostatniej chwili, lecz trupa nigdzie nie znaleziono“. „No! my wiemy gdzie on jest“, dodał ambasador, zwracając się do Szubalskiego. „Gdzie?“ zapytał.

„Pułkownik Pawencki, spędziwszy kilka tygodni w jakimś dworku pod Lanckoroną“, odparł Szubalski, „przybył teraz do Warszawy“.

„Tak więc rzecz stoi z Konfederatami“, zakończył N., jedź pan tam do nich, panie starościcu.

„Jaśnie Wielm. Panie, ja już powiedziałem moje ostatnie słowo“, — rzekł Karski.

„Chcesz pan być ajentem ambasadora moskiewskiego, — chcesz żyć za ruble moskiewskie?“, ciągnął niewzruszony N...

„Pro publico bono, mówiłem, zrobię wszystko“, odparł Adam.

„Dobrze“, rzekł teraz Moskal. „Daję panu zresztą jeszcze tydzień do namysłu. Przez ten czas przypatrzy się pan wszystkiem, co się dzieje, niech cię to jeszcze utwierdzi na drodze, na której jesteś. Szczególniej, staraj się pan zaznajomić i pilnie baczyć na konfederatów, na pana Karnickiego, a przedewszystkiem na Pawenckiego, który pewnie nie nadaremnie do stolicy przybył. Bliżej jeszcze powie panu o nim Szubalski. Teraz, bądźcie zdrowi panowie, bo muszę pójść na salon. Co wieczora chętnie będę zawsze panów u siebie widział“. Przy tych słowach wstał i skinął głową do gości. Gdy ci wyszli i ambasador sam pozostał, rzekł:

„No, kosztowała mię dużo ta komedya, ale jego jestem pewien. On jeden więcej wart, niż cała ta psiarnia patryotyczna“. Potem wyszedł z pokoju.

(Ciąg dalszy nastąpi).

G. Ł.

SECESYA.

Berlin, 26 października.

Secesyoniści malarze wystąpili tego lata z drugą wystawą prac swych w Berlinie. Katalog tej wystawy przewodnicy kierunku zaopatrzyli krótką przedmową, która wygląda niemal na program.

„Sztuka — czytamy w przedmowie tej — to wieczne powstawanie; powstawanie i zanikanie. Byłoby to śmiercią sztuki, gdyby skostniała dogmatycznie“.

„Nazwę secesyi ciągle jeszcze mylnie tłumaczą w tym sensie, jakobyśmy hołdowali pewnej panującej chwilowo modzie w sztuce; tymczasem odłączyliśmy się dla tego właśnie, by swobodnie popierać każdy talent, w jakimkolwiekby się przejawiał kierunku“.

„Dla nas sztuka streszcza się w tem — jak rzekł św. Augustyn — co stworzyli wielcy artyści“.

Taki program podpisaćby mógł każdy rozumny artysta. Gdyby secesya w samej rzeczy nie miała innego programu, niejeden świecznik oficyalnego salonu musiałby się zgodzić na miano secesyonisty. Lecz niestety etykieta nie zgadza się z treścią. — Przedmowa protestuje przeciwko „panującej chwilowo modzie“, cała wystawa zaś tchnie właśnie „panującą modą“ i tem tylko odróżnia się od głównej.

W czemże ta moda polega? Pomijam dziś nowy smak kolorystyczny i dekoracyjny kierunek secesyi. Pragnąłbym natomiast zwrócić uwagę czytelnika na rysunek, na proporcyę i kształty ciała ludzkiego, słowem, na secesyoniczny ideał piękności. Prawdziwy secesyonista i snobamator, dzielący smak jego, przechodzi z pogardą obok obrazów, przedstawiających ludzi zdrowych i normalnie rozwiniętych: to przestarzałe. Za to wykrzykuje z zachwytem przed portretem suchotnicy Whistlera; odrodzenie sztuki upatruje w obrazie Tomasza Teodora Heinego „Frühlingserwachen“, w panienkach długich, chudych i przeźroczystych, jak upiory, a skończonym ideałem kobiecym jest dlań „Tancerka“ Habermanna, kościotrup w welonie.

Azatem: zapadnięte policzki, klatka piersiowa, jakby zgnieciona, wąskie, spadziste ramiona, postać załamująca się i pozbawiona wszelkich kształtów, cechujących płeć. Komu to się pięknem nie wydaje, ten pozostał w tyle. „On ne porte pas de honches“, oto nowe hasło w pracowniach krawieckich — i malarskich.

Wiemy, skąd ta moda pochodzi. Kobieta bez bioder nie urodziła się na piasku

pruskim. Tyczka secesyonistyczna była pierwotnie ideałem prerafaelowskim, obrazy Heinego są karykaturami postaci Burne-Jonesa; a ci wszyscy, którzy strącili z tronu Wenerę Milońską, do jakichkolwiek zaliczają się narodowości, klękają przed Wenerą Boticellego.

Wiele już uwag satyrycznych posypało się na ten najnowszy pierwowzór piękności kobiecej, lecz nikt jeszcze nie poddał go krytyce tak gruntownej i ściśle naukowej, jak Stratz, lekarz i estetyk, którego dzieło „Die Schönheit des weiblichen Körpers“ doczekało się siódmego już w krótkim czasie wydania. Wyborna ta książka, w pierwszym rzędzie przeznaczona dla matek, nauczycielek i lekarzy, służyć też może, jako przewodnik po wystawach nowoczesnych.

Myślą przewodnią pracy tej jest znalezienie nieomylnego, przedmiotowego probierza piękności kobiecej. Przedewszystkiem tedy usuwa Stratz tradycyonalne pojęcie piękności; opiera się na dziełach wielkich mistrzów. Lecz kryteryum to, które wystarczało św. Augustynowi i które—rzekomo—i secesya przyjęła, nie wystarcza Stratzowi.

Nawet w wielkich okresach sztuki istnieje pewna moda, wyrabia się pewien smak tradycyonalny, który nie ma nic wspólnego z wiekuistą, objektywną pięknością. Cóż dopiero nowoczesne pojęcie piękności! Człowiek nowoczesny — wyjąwszy lekarza i artystę — niezna wcale ciała kobiecego. Widuje on twarz, ręce, czasami biust: wytwarza sobie tedy pojęcia wypaczone, lub posługuje się kryteryami, zapożyczonemi u krawców: kobieta jest piękną, skoro ma w pasie 60 cm., zachwycającą, skoro ma 50 cm.

Lecz jakież są cechy prawdziwej piękności? Już Dürer uczył, że szukać ich należy nie w sztuce, lecz w naturze. Podobnie postępuje Stratz, posługując się przytem metodą eliminacyjną. Usuwając z kolei wszystkie wady i usterki, wywołane w postaci kobiecej przez wpływy chorobliwe, dochodzi wreszcie do typu normalnego, do ideału piękności naukowo ufundowanego; skończona piękność jest ta, która opiera się na zdrowiu zupełnem.

Zapewne, że tą drogą zyskujemy bardzo ogólnikową tylko formułę piękności, w której obrębie natura i sztuka dąży do najczystszego ideału piękności uszlachetnieniem kształtów i proporcyj; zawsze jednak dochodzimy do pewnych linij demarkacyjnych: wiemy przynajmniej, że wszystko, co leży po za temi liniami jest szpetnem.

Z tym tedy probierzem w ręku Stratz staje przed ideałem secesyonistycznym, a przedewszystkiem, jako lekarz i jako estetyk, zadaje sobie pytanie: czy ów prototyp piękności, Wenus Boticellego, jest istotnie piękną, t. j. normalną? Już przed nim sławni anatomowie, Brucke i Pfeiffer orzekli, że figura ta o wklęsłej klatce piersiowej i wąskich ramionach okazuje wyraźny habitus phtisiens. Jeżeli obraz ten wzrusza nas, to uczucie nasze nie jest wesołym podziwem piękności, lecz litością dla beznadziejnie chorej.

I w samej rzeczy oryginał, według którego Boticelli namalował postać tę, Simonetta Catanea, kochanka Juliana di Medici, była suchotnicą. Umarła ona przed dwudziestym trzecim rokiem życia. W ten sposób Boticelli nieświadomie może — typ ujmującej suchotnicy podniósł do wysokości ideału piękności, a za jego przykładem wielu artystów dzisiejszych nadaje postaciom swym z umysłu cechy patologiczne. Najwyraźniej występuje dążność ta u Burne-Jonesa. Na rysunkach jego i szkicach, t. zw. aktach, widzimy jeszcze ludzi zdrowych, którzy na obrazach stają się suchotnikami.

Wiadomo, że i w Paryżu galopujące suchoty są w modzie u kobiet; pierś chorobliwie wydrążoną zowią tam „une poitrine delicieusement plate“. Berło piękności kobiecej przyznano Lianie de Pougy, kobiecie wiecznie dogorywającej, która obecnie ponoś z poetą Lorrainem przebywa ostatni akt damy kameliowej; a i Cleo de Merode zawdzięcza rozgłos swój wyjątkowej swej smukłości.

Spodziewajmy się wraz ze Stratzem, że czas, gdzie wystawy wyglądają, jak sale szpitalne, niedługo potrwa, że instynkt artystów unikać zacznie form, które świadczą o chorobie organizmu i że następna moda w sztuce przyniesie nam ideał piękności kobiecej, zgodny z ideałem zdrowia.

Józef Jedlicz

FRAGMENT.

...I nie miłować ciężko — i miłować
Nędzna pociecha...,

Sęp Szarzyński.

Gdy syt hańby i bólu, jadem żądzy splamion,
W maskę lic twych patrzałem krwawemi oczami —
I przykuty bezmiarem szału do twych ramion,
Modliłem się do ciebie, jak dziecię ze łzami
I żebrałem o jedną myśl... ty — pełna taktu,
Szczęśliwa i z banalnym uśmiechem na ustach,
Mówiłaś drobnostkowo o modzie i gustach,
O sukni... ilu panów z lóż w czasie antraktu
Lornetowało ciebie jedną... które damy
Noszą się zbyt jaskrawo, zbyt... co szepcą w mieście
O tej bladej mężatce z przeciwka.. Nareszcie
Temat przyszłego balu...

Ileż razy, przepalon obłędem tęsknoty,
Przeklinałem odwieczne sny i orle loty
Ku nieznanym przystaniom i błękitnym światom!
I święte jutrznie... brzaski promienne w obłoku...
Ogromne wizye złotych słońc.. ja — marny atom
Przeklinałem dla ciebie — — —

Zaczem znowu przy tobie... samej, przy twym boku
Pijany pocałunkiem i własnem szaleństwem,
Drżąc, jak chory lunatyk, z tłumionem przekleństwem,
Z onym złym, kainowym uśmiechem katuszy,
Pożerałem twe oczy i czoło królewny,
Pragnąc ujrzeć w tych oczach jasnych, choć ślad duszy,
Choć fantom czucia... I płacz serca gorzki, rzewny,
Łkał w piersi — i bezdenne, nieme otruchlenie
Podnosiło me biedne serce zimną dłonią
Ku ściśniętemu gardłu, licom, bladym skroniom...
A w wargach drgał bezsilny ból... głuche westchnienie...

. . . .

Nieraz, jak ptak daremną wędrówką znużony,
Chwytam się twoich śnieżnych rąk i tchnieniem cichem
Szepcę o dębach, którym królewskie korony
Grom strzaskał... o lotosie, co modrym kielichem
Dyszy i chłonie z rosą dziwne gwiazd tęsknice,
Wpatrzon w ich niewymowny czar i tajemnice..

Z młodzieńczą, bezgraniczną wiarą i zapałem —
Ha, ha... jak strasznie śmiać się chce...
I szeptałem
O oddalonych ziemiach, zadumanych morzach,
O łzach i doli bratnich rzesz, o krwawych zorzach,
O żórawiach osłabłych, co płaczą do słońca,
O Bóstwie, co trwa wiecznie i włada bez końca
Wieczyście zasłuchane w harmonie wszechświata;
O duchu, co wciąż dąży, upada i wzlata,
O sercach, które w jednem stopione płomieniu,
Stają się równe Bóstwu; — o świętem natchnieniu
Bólu — rozkoszy wielkich dusz..
Dziś jeszcze widzę,
Jak na pierś nieruchomą zapłótłszy ramiona,
Niechętnie — i ziewając, na wpół oburzona,
Wsłuchana w plusk i warwę deszczu nieustanną,
Rzekłaś: „Proszę, daj mi już spokój, jestem panną
Porządną, nie żadną jakąś.“ . . . .

. . . .

Bertold Menkes.

„ZACZAROWANE KOŁO“ — RYDLA.

Dwie sfery społeczne wprowadza Rydel w zaczarowane koło: koło szczęścia, gonitwy ku ziszczeniu zbrodniczych naturalnie (boć inaczej jakby dramat powstał...?) planów. Obie sfery dzieli między siebie moc piekielna, ucieleśniona w postaci djabła Boruty i Kusego, nie zajmujących widocznie w hierarchii zła pierwszorzędnego stanowiska; ta para djabłów niema wcale dalekoidących ambicyj, nie burzy porządku świata, ale przeciwnie, ulega codziennemu tokowi wypadków i małostkowym przypadłościom. Boruta chełpi się przed swym towarzyszem w sposób wcale nie - lucyferowski:

„To ty nie wiesz, błotna mszyco,
Kto od czasów Lecha króla,
Rezyduje nad Łęczycą,
Kto po dworach z szlachtą hula?
Kto na fecie i na stypie,
Przy sowitym traktamencie
Oracye z rękawa sypie?
Nie słyszałeś, wietrzykręcie,
Kto, zjechawszy na kiermasze,
Lub na sejmiki, wychyla
Jednym tchem miodu antałek
I saganem jada kaszę
I zrazy, a lada chwila
Od przemówisk i przechwałek
Wiedzie szlachtę na pałasze?
Kto więcej szlacheckich pałek
Nakarbował, niźli Wasze
Wiodłeś chamów do topieli?
Nie wiesz, ty mizerny głąbie,
Kto jest ów łęczycki śmiałek
Do szklanki, do karabeli,
Szlachcic — z końską nogą w bucie,
Djabeł, co bije i rąbie?
Nie słyszałeś, mylidrogo,
O Imci Panu Borucie?!!“

Te dwa „djabelskie“ indywidua, umawiają się o podział pracy. Jeden proponuje:

„Szlachta mnie — a tobie cham“
Bene! Jest układ!

Ten motyw stanowi punkt wyjścia baśni dramatycznej Rydla. Onto skupia dwie z początku w żadnym związku ze sobą nie będące i samodzielnie się rozwijające fabuły: pierwszą o ambitnym Wojewodzie — drugą o przeniewierczej Młynarce. Oba konflikty, wskutek tego się wywiązujące, spaja siła djabelska, uwzięta na połów dusz ludzkich i zmuszająca autora do przyczepienia do fabuły całego szeregu osób, aparatu zdarzeń i do wprowadzenia dwojakiego umiejscowienia: „szlachta“ na jednem, a „chamy“ na drugiem.

Zbadajmy po kolei oba te tereny.

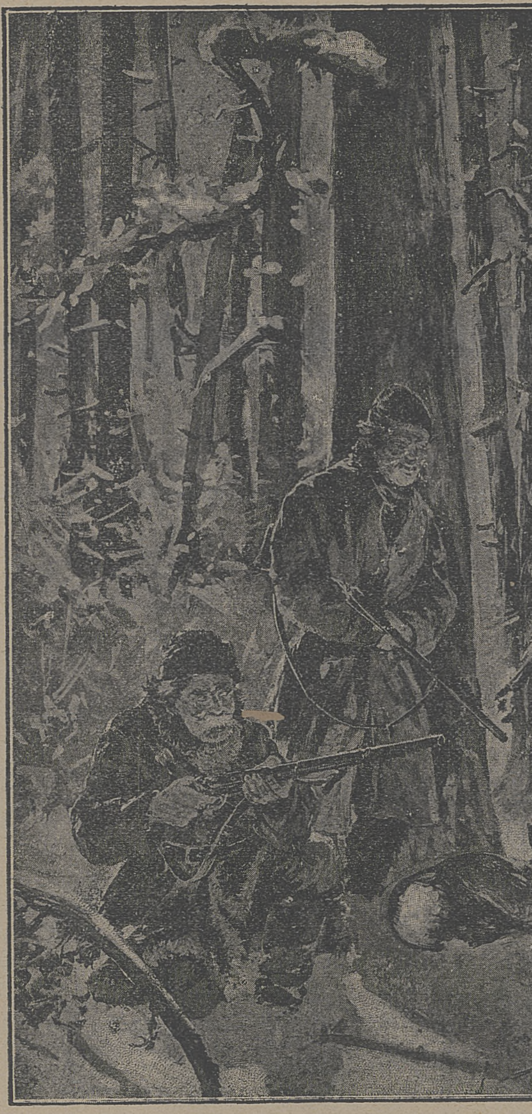
Drugi wybija się na plan główny. Teren, na którym występują „chamy“, odcina się rzeczywiście traktowaniem con amore, od rysunku tła szlacheckiego, wielce stereotypowego i banalnego. Gmin żyje w sztuce Rydla życiem rzeczywistem, intenzywnem, podczas gdy same pozytywki ci szlachcice z Wojewodą na czele, wygłaszającym „filozofię życia“ w słowach:

„Furda! raczej wszystkie smutki
Zapić, zalać winem złotem,
Pomnąc, jako żywot krótki:
Brevis est mortalium vita.
I nie warta torby sieczki!
Tandem dalej do węgrzyna!“

— dalej z Kasztelanem, lalką, co to u nóżek Waszmość Panny Wojewodzianki ściele afektów swych wyznanie, prosząc, aby śliczne swe oczęta obróciwszy w jego stronę i tkliwą kompassyą zdjęta, ognie, któremi goreje, pozwoliła mu na ołtarze Hymena przenieść itd. itd. — a wreszcie z tą hałastrą mniej, lub więcej szaraczkowych szlachetek, zginających się we dwoje przed złotem Wojewody, upadających wprost na kolana przed jego... kuchnią i piwnicą.

Ale wróćmy do pierwszego składnika dramatu Rydla, do tych prostych, tych „chamów“, nie skażonych przerafinowaniem kultury.

ROK MYŚLIWCA.



KŁUSOWNICY

I tu na pierwszy plan wysuwają się dwie postacie, nie biorące właściwie bezpośredniego udziału w akcyi dramatu. To „Dziadek Leśny“ i „Głupi Maciuś“. Starzec i wyrostek. Obaj, co to miłość wyssali nie ze złego, zepsutego świata, ale wprost z łona natury. Mówi Dziadek:

„Tyle czasu — tyle czasu!
Idą ranki a wieczory,
Idą wiosny a jesienie,
Idą lata za latami,
Idą czasy i przechodzą,
A oni wciąż tacy sami,
Z pokolenia, w pokolenie:
Jak się lęgli, takich płodzą!
— Odmienia się przyodziewa,
Jak rosochy u jeleni,
Jak listeczki te, co z drzewa
Opadają na jesieni,
A dołem zawżdy pień stary,
I gałęzie, i konary,
I rdzeń stary — do korzeni!
...Podłe, zatracone plemię,
Ród omierzły a łakomy...“

— i ze swego stanowiska ma racyę. Niech nikt nie zamąci chwil szczęścia temu zgrzybiałemu starcowi, wsłuchanemu w głosy, rozbrzmiewające w przyrodzie, bo

„wylękną się leśne łanie,
I nie przyjdą pić w jeziorze.
Już ich dzisiaj nie wydoję —
Ani mi się nie dostanie
Czynsz wieczorny od wiewiórek,
Co mi przynoszą orzechy...“

A Maciuś? Artystyczna, tęsknicą parta, przeczuciowa, ale nieuświadomiona — strasznie nieuświadomiona! — dusza.

„Ja se fujary
Na pociechę z wierzby kręcę,
To ta człowiek zapomina
I o biciu, i o głodzie.
Kiedy fujarę udłubię
I gram onemu lasowi,
I gwiazdom gram, i tej wodzie,
I gram wszelkiemu ptakowi.
Wiecie? Ja grać straśnie lubię!“

Ino, że grać niema na czem.

„...daremnie
Człowiek se fujary struga
Kręcę z wierzbowego łyka,
I dłubię w brzozowej korze,
A myślę: nie ta, to druga,
Wygra wszystko, jak się patrzy,
Wygra niebo, wygra zorze,
I ten miesiączek, co bladszy
Śrybła, i słonko, co wstaje,
I nad rzeką te opary,
I wygra wszystko, co kwitnie,
I pola, i te gaje.
Bogać ta! Takiej fujary
Ja trza, nijak człek nie wytnie!“

Dziadek udziela mu więc rady. Kiedy księżyc pojawi się na niebie, śpiewają topielice na powierzchni jeziora pieśni czarowne. Wtedy dmuchać na nowej fujarce brzozowej, a drewno przepoi się śpiewem zaklętym. Takim to mistrzem Maciusia staje się Dziadek Leśny, wskrzeszając w nim ducha, śpiącego na dnie jego duszy:

„Darowałem ja mu więcej
Niźli wszystkie skarby świata.
Darowałem jemu pieśń!
Pójdzie za nim rzewna, śpiewna,
I tęczowa, i skrzydlata,
Czarodziejska — Pieśń!“

Między tak zharmonizowanemi naturami, dramatów życiowych niema. Bo cóż ich życie obchodzi?... Oni żyją w sferze innej.

Ale pan Rydel koniecznie chciał dramatu i między „chamami“. I stworzył go. Piękna Młynarka ma starego męża... W młynie służy młody, przystojny parobczak Jasiek... No, i reszty domyśleć się można. Na strapienie sercowe lekarzem najpewniejszym Dziadek Leśny. Ale i on tu rady udzielić nie może:

„Ja tu więcej nie poradzę:
To są jakieś dziwne sprawy“...

Z radą spieszy naturalnie djabeł demokratyczny... (w przeciwieństwie do arystokratycznego Boruty) Kusy. A rada brzmi:

„—Po żelezie krew ucieka...
Krwią czerwoną z nim się zwiąż,
Będzie, jako ślubny mąż..
— Po żelezie krew ucieka...
W rękę mu siekierę włóż,
Albo topór, albo nóż. .
Niech zabije własną ręką!

Młynarka.

(jakby w strasznym śnie).
Kogo ma zabić?...!

Kusy.

Człowieka!"

A teraz występuje składnik drugi: historya szlachecka, dramat społeczny — boć społeczeństwem tu jedynie kasta uprzywilejowanych.

Wojewoda łaknie buławy hetmańskiej. Ale buława w ręku brata. A za tegoż życia niepodobna po nią sięgnąć. Kto inny „wyklaruje" sytuacyę, jak nie djabeł! — szlachecki djabeł — Boruta! — Ale djabeł darmo usług nie wyświadcza. Pragnie duszy... — o tem już wróble na dachu świergocą. A więc pakt! Zwykle pisze się w takich razach cyrograf krwią z palca wyciśniętą — tu go nie trzeba — wszak to bracia szlachta! — verbum nobile, debet esse stabile. A więc ugoda staje następująca:

Boruta.

Niechaj będzie w niej zawarte,
Że, — jeśli Pan Wojewoda
Nigdy, żadnego człowieka
Niewinnego nie zabije,
Ani też na śmierć nie poda
Niewinną przez ręce czyje —
Tom przegrał...
...Lecz gdybym kondycyę onę
Wygrać miał — aliquo modo —
Musi mi być wypłacone
Wszystko — Panie Wojewodo!
...Niech moja zapłata będzie
Expresse w pakcie zawarta...

Wojewoda.

A czegóż chcesz?

Boruta.

Pytać czarta
Czego chce: Wszak to wiadomo:
Od wieków zawżdy i wszędzie
My pracujemy... pro domo...

Wojewoda.

Ha — wiem! Chcesz moją duszę?
Zgoda!

Po tak długiej, bo dwa akty zajmującej ekspozycyi, następuje powiązanie jednym węzłem dramatycznym obu tych sfer.

Młynarka wraz z Jaśkiem mordują starego młynarza — podejrzenie pada na ścinającego w tem miejscu drzewo człowieka — Wojewoda pozywa niewinnego drwala przed swój sąd — skazuje go na śmierć — powoduje tem wyrzuty sumienia u pary właściwych zbrodniarzy — Jasiek się topi — Młynarka wpada w obłąkanie — zdradza Wojewodzie tajemnicę śmierci młynarza — Wojewoda odwołuje wyrok śmierci — zapóźno... Dyabeł tryumfuje. Wygrał! Dusza Wojewody do niego należy. „Wojewoda z nieporuszoną twarzą; powoli kładzie swą rękę, która drży nieznacznie, w wyciągniętą rękę Boruty. Potrząsają sobie nawzajem rękoma w silnym uścisku. W tej samej chwili Wojewoda przewraca się, jakby rażony gromem, a Boruta zapada się pod posadzkę, wśród straszliwego huku i płomieni. Kłąb dymu przerzedza się. Widać leżące zwłoki Wojewody. Przez chwilę scena pusta. Słońce świeci ciągle przez okna. Zdaleka dolatuje zbliżający się głos Maćkowej fujary, która gra motyw z pieśni Topielic".

— — — — — — — — — —

Tak się przedstawia baśń dramatyczna Lucyana Rydla.

Jakie budzi reminiscencye? Przedewszystkiem nasuwa bardzo wiele myśli, w guście: „Już gdzieś coś podobnego widziałem..." Powoli do naszej świadomości napływa pewność, iż te sytuacye, te osoby skądinąd już znamy. I tak akt pierwszy przypomina „Dzwon zatopiony" Hauptmanna. Uroczysko leśne, jezioro, na którem topielice

„niech wstanie miesiąc na wschodzie
I po wodach światłem strzeli
Wychylają sine lica"

i dzwonią — dzwonią, trącając o powierzchnię fali. A Głupi Maciuś, ten błędny chłopczyna, co to przez fujarkę duszę czystą wyśpiewuje, co to „ani on do świata, ani świat do niego" — czyż nie jest analogiczną postacią z Sienkiewiczowskim Jankiem Muzykantem? A czyśmy śmierci od pioruna w podobnych warunkach, jak to ma miejsce u Wojewody, nie widzieli w epilogu Balladyny? A djabełek Kusy, zapędzający ludzi między trzęsawiska, wiodący ich gdyby błędny ognik po bezdrożach, nie jestże podobnym do Chochlika? A stosunek Wojewodzianki do Maciusia nie jest wzorowanym na stosunku Goplany do Grabca?

Wyłączmy następnie z dramatu Rydla to, co bezwątpienia znalazł gotowem w klechdach i podaniach ludowych, jak postać Boruty i Kusego — a zostanie co? Romans Młynarki i Jaśka — banalna sfera szlachecka i powiązanie tych obu składników w jeden konflikt dramatyczny.

Zostanie wreszcie królewska, wspaniała forma, czarujący język, moc wysłowienia, stanowiące wyłączną, z nikim niepodzieloną zasługę Rydla; te też uwarunkowały powodzenie jego baśni dramatycznej.

— — — — — — — — — —

Lecz przypuśćmy, żeśmy podczas zajmowania się dramatem Rydla nie mieli żadnych skrupułów co do genezy jego pomysłów i postaci — jak się wówczas dramat jego jako całość przejawia?

Najważniejszym warunkiem, abyśmy patrząc na przebieg akcyi na scenie mogli uzyskać illuzyę rzeczywistości, jest konieczność wprowadzenia tych a nie innych postaci, konieczność takiego, a nie innego pokierowania ich losami. Widzowi musi się dać pewność, iż tylko tak stać się musiało. Bo z chwilą, kiedy zacznie kontrolować prawdopodobność postaci, ich ugrupowania, usuwać rozdźwięk, powstały wskutek własnego, przez siebie wytworzonego obrazu danych postaci, a ich ucieleśnienia przez autora — — illuzya przepadła! Boć autor nie ma działać na zmysł krytyczny widza — sam winien być jego krytykiem, znawcą takim, iżby mu mocą nieprzepartą narzucił losy osób, które wprowadza na scenę.

Otóż tej illuzyi brak dramatowi Rydla. Obserwujemy postaci na scenie, przyjmujemy ich losy jako możliwe i prawdopodobne — ale nie mamy wrażenia, że są konieczne; nie przejmujemy się ich nieszczęściem, nie cieszymy ich szczęściem. Widocznie wina tu nie po stronie tematu, ale autora, iż wlać w wprowadzane przez się postaci, mimo że najpoetyczniejszym językiem przemawiają, nie zdołał tego fluidu, co za serce chwyta, bicie serca powoduje, nerwami wstrząsa, a na twarz wyraz zgrozy, czy strachu, czy radości wywołuje. Bo — jak powiada Wojciech Bogusławski:

Poezya jest dla wszystkich.

Odczuć ją może zarówno romantyk, rozmiłowany w motywach ludowych, jak zwolennik artystycznego „tytanizmu", szukający podniet twórczych w rozpętaniu zmysłów; jak schyłkowiec wreszcie, który wzdycha za wskrzeszeniem w życiu renesansowych bohaterów.

Bo baśń ma to do siebie, że człowieka w każdej dobie jego życia czem innem czaruje, a do ludzkości na każdym szczeblu jej cywilizacyi odmiennym przemawia językiem.

A takiego działania niema u Rydla.

Henryk Zbierzchowski.

MUZYKA.

(*„Faust".—„Konserwatyzm w muzyce". — „Koncerty".*)

W niedzielę po raz czwarty usłyszeliśmy Fausta w nowej obsadzie. Przedstawienie to wzbudziło w naszej publiczności żywe zainteresowanie się zwłaszcza, że pani Merklowa i pan Drzewiecki byli nam dotąd nieznani.

P. Merklowa, to śpiewaczka ze szkoły niemieckiej, partyę swą wykonuje correct, ściśle i zazwyczaj szlachetnie. W śpiewie jej niema ani jednego szczegółu obliczonego na efekt, często bardzo tani, a którym tak lubią się posługiwać śpiewacy włoscy; od początku do końca śpiewa p. Merklowa równomiernie i to właśnie ma pewien urok czysto artystycznej natury. Głos jej, piękny i dźwięczny, brzmi równo a wysokie tony są prześliczne i pozbawione ostrości... P. Merklowa ma być śpiewaczką koloraturową, czekamy więc niecierpliwie na „Fra Diavolo".

P. Paszkowski sprawił nam niespodziankę. Po raz pierwszy śpiewał on większą partyę, która nadto ma tak świetnego przedstawiciela w panu Jerominie i nietylko utrzymał się w roli, ale miał kilka momentów bardzo szczęśliwych. Gra p. Paszkowskiego była o tyle ciekawą, że pojął on Mefista bardziej szlachetnie i artystycznie, niż jego poprzednik.

P. Ludwig, jako Walenty, okazał głos miękki, dźwięczny i dobrze postawiony, bardzo wiele poczucia artystycznego i inteligencyi, a pin nie pozostawiała nic do życzenia. P. Ludwig wniósł ze sobą na scenę pewien urok młodości i świeżości. P. Drzewiecki, jako Faust nie zadowolił nas. Może przyczyną tego była trema, albo niestosowna partya. Zdania o p.

Drzewieckim nie wydajemy jeszcze, czekając na „Fra Diavolo".

P. Tarnawski dopełnił pięknie całości.

Nakoniec jeszcze parę słów o p. Ruszkowskiej. Śpiewaczka ta posiada wszystkie warunki do wykonywania mniejszych partyj operowych, bo posiada postawę piękną i głos nie silny, ale bardzo miły; tylko nie umie jednej rzeczy:... śpiewać. To, że głos jej nie jest zupełnie postawiony, że tony wysokie urywają się i drżą, jest winą nie tyle samej śpiewaczki, ile szkoły, w której się uczyła. Oddawna istnieje przy lwowskiem Towarzystwie muzycznem szkoła śpiewu, która ma szczęście do pięknych głosów, ale jeszcze nikogo nic nie nauczyła. Nie wiemy, jaką metodą uczy się w tej szkole, ale znamy mnóstwo jej uczniów, którzy po ukończeniu wszystkich kursów nie znają zasadniczego abecadła śpiewaczego. I proszę pomyśleć co za konserwatyzm panuje u nas w muzyce; pół Lwowa o tem pocichu mówi, a nikt z kompetentnych nie zabrał dotychczas w tej sprawie głosu.

* * *

W poniedziałek 5 listopada odbędzie się w sali Kasyna miejskiego własny koncert pianisty p. Armina Toepfera, ucznia Rubinsteina. P. Toepfer na zebraniu towarzyskiem w konserwatoryum dał się już poznać jako znakomity wykonawca Rubinsteina, Liszta, Taussiga i Griega.

Jako dobrą i pewną lokacyę

polecamy

4% Listy hipoteczne koronowe,
4½% Listy hipoteczne,
5% Listy hipoteczne premiowane,
4% Listy Tow. kred. ziemskiego,
4½% Listy Banku krajowego,
4% Listy Banku krajowego,
5% Obligacye komunalne Banku kraj.
4% Pożyczkę krajową,
4% gal. Obligacye propinacyjne,

Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym.

Kantor wymiany

c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

Banku hipotecznego.

Premjowanie

własnych zbiorów I. kl wina Hegelaja — **Szamorodne**, a mianowicie: **stare kuracyjne TOKAJE** —ordynowane przez **najpierwsze** powagi lekarskie **wedle świadectw** — rozbierane w Paryżu przez pierwszych specyalistów z współdziałem przezacnego Pr. Gałęzowskiego, otrzymały najwyższe premie — zaszczycone używaniem przez Najdost. Arc. Salwatorów — Jego Ex. Arcyb. Issakowicza — ś. p. exprezyd. Smolkę i u wybitnych osobistości są do nabycia u właścicielki

Anny Neupauer

we Lwowie

ul. Kochanowskiego l. 6.

Najwyborniejszych

½ klg. Cukrów deserowych 1 zł. 20 ct.

½ klg. herbatników 80 ct. do 1 zł.

oraz Czekoladę i Cacao

poleca codzień świeże

H. TRETER

parowa fabryka czekolady

Najtańszy

Magazyn Towarów bławatnych

F. Korneckiego i Sp.

(Pasaż Hausmana)

poleca w wielkim wyborze

MATERYE NA SUKNIE

Płótna, Chiffony, Pledy i t. p.

Losy przegląda zupełnie bezpłatnie **kantor wymiany WIKTOR CHAJES i Spka**, Lwów, ulica Syktuska l. 8. Marka na odpowiedź. Losy na raty. Gdziekolwiek zastawione losy wykupuje się, dopłaca do pełnej wartości kursowej i te same losy odsprzedaje na dogodne raty miesięczne.

DOM BANKOWY i KANTOR WYMIANY

SOKAL i LILIEN

we Lwowie, ul. Hetmańska l. 12 (Hotel Langa)

kupuje i sprzedaje listy zastawne Towarzystwa kredytowego, gal. banku krajowego, jakoteż obligacye komunalne banku krajowego i obligacye gal. pożyczki krajowej i wszelkie renty, losy rządowe i prywatne, akcye kolejowe i obligacye pierwszeństwa, również wszelkie monety krajowe i zagraniczne pod najkorzystniejszemi warunkami.

Przyjmuje za mierną prowizyą wszelkie zlecenia wchodzące w zakres interesów bankowych.

Zlecenia z prowincyi wykonuje jak najrychlej.

Handel A. Hawełki

Kraków

poleca towary kolonjalne, wszelkie delikatesy polskie, francuskie, angielskie, włoskie i amerykańskie.

Kompletne dostawy dla rautów, bankietów i wesel. — **Gabinety** dla zebrań towarzyskich.

Telegram: *Hawełka, Kraków.* — Telefon 330.

Najnowsze materye meblowe

FIRANKI — PORTIERY — DYWANY — CHODNIKI

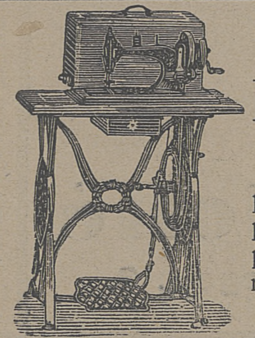
i wszelkie inne w zakres urządzenia domowego wchodzące przedmioty

otrzymał i poleca najtaniej

SKŁAD FABRYCZNY

FILIPA HAASA i Synów

we Lwowie, ul. Jagiellońska.



Handel towarów żelaznych, metalowych i wyrobów nożowniczych.

KAROLA HAUSWALDA

w Stanisławowie

poleca główny skład maszyn do szycia poprawnych **SINGERA** i innych systemów pod gwarancyą po cenach przystępnych na raty miesięczne, za gotówkę 10% opustu, jakoteż kasy ogniotrwałe.

KANTOR WYMIANY

BANKU GALICYJSKIEGO

dla handlu i przemysłu

ul. Jagiellońska l. 3. I. piętro

(dawny lokal Banku kredytowego)

zawiadamia P. T. Publiczność, że kupuje i sprzedaje wszelkie **papiery wartościowe i waluty zagraniczne** po możliwie najskrupulatniejszych kursach, uskutecznia pod takiemi samemi warunkami wszelkie **zlecenia giełdowe** zarówno na giełdzie wiedeńskiej, jak i giełdach zagranicznych, wydaje na wszystkie znaczniejsze miejscowości świata i zagraniczne miejsca kąpielowe bezpośrednie przekazy i listy kredytowe, wreszcie **wypłaca wszelkie kupony** możliwie bez potrącenia jakiejkolwiek prowizyi inkasowej.

Godziny urzędowe: od 9—12½ przedpołudniem i od 3—4½ popołudniu.

Biura Związku gal. producentów

„ROPY"

stowarzyszenia zarejestrowanego z ograniczoną poręką

znajdują się

we Lwowie, ul. Chorążczyny l. 17.

(Dom naftowy) I piętro.

Zarząd Hotelu Szwajcarskiego ul. Batorego l. 20. poleca Szanownej P. T. Publiczności pokoje umeblowane z komfortem od 60 ct. do 2 zlr.

Właściciel i wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego" (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.